POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 29-go listopada 1941r.*** **Rok III. Nr. 48**

Wskazania Nocy Listopadowej

I.

Niespodziewany, a w szczegółach nieprzygotowany, atak podchorążych w wieczór 29 listopada 1830 wywołał lawinę wypadków i bitew, która zaciążyła na losach państwowości i narodu polskiego, a zarazem przyniosła całą bibliotekę rozważań i debat zarówno politycznych, jak wojskowych.

W umysłach i sercach polskich zwyciężyło ostatecznie przekonanie, że każda walka zbrojna o niepodległość była czynem twórczym i dodatnim, gdyż przez lata niewoli podtrzymywała niezłomnego ducha walki i oporu w całym narodzie, ducha, który trwa i działa po dziś dzień. Ten to cel i skutek najwyższej kategorii przysłonił również cały szereg błędów i straconych sytuacji, które ciągną się od chwili wybuchu Powstania Listopadowego aż do tragicznego przejścia granicy pruskiej w Brodnicy dnia 5.X.1831 r. Dziś zaś, gdy bezpośrednie polityczne skutki Powstania Listopadowego już nie oddziałują, pozostają nam jednak dzieje lat 1830/31 skarbnicą doświadczeń i źródłem stwierdzeń oraz obserwacji o niezmiennej wartości nawet na chwilę obecną.

Dzieje ludzkości nie znają sytuacji i rozwiązań zupełnie tych samych, ale stawiają nas raz za razem przed sytuacjami i rozwiązaniami podobnymi. To zaś ciągle występujące podobieństwo jest właśnie podstawą tych doświadczeń politycznych, które każdy naród zbiera w czasie swojej historii. Z tego stanowiska właśnie Powstanie Listopadowe nasuwa całe bogactwo wskazań, do których dzisiaj musi powracać myśl polskiego żołnierza, a zarazem czasowego emigranta, walczącego o powrót państwa polskiego na swym terytorium i o swój powrót do takiego państwa.

Wskazania negatywne, czy krytykę własną, zostawiam na uboczu. Nie jesteśmy w trakcie budowania u siebie i nie stoimy wobec obowiązku kierowania wszystkiego wyłącznie według wskazań trzeźwego rozrachunku politycznego, tak, jak to było naszym obowiązkiem w latach 1918-1939. Dzisiaj jesteśmy w ogniu walki wojskowej i politycznej, w której musimy wydobyć z siebie najsilniejsze elementy woli i siły uderzenia, pozostawiając świadomemu kierownictwu walki nakazy trzeźwej kalkulacji. Dziś, bardziej niż kiedykolwiek, atmosfera entuzjazmu i poświęceń bez granic a wbrew takim czy innym warunkom lub zmianom, musi rządzić i na szczęście rządzi duszą polską.

Dlatego z nocy listopadowej 1830 r. i z wskazań, wypływających z tego powstania, musimy wydobyć na światło naszej świadomości przede wszystkim wskazania dodatnie, a ważkie na chwilę dzisiejszą.

II.

Powstanie Listopadowe stwierdziło, że życie Polski i Rosji w jednym związku państwowym jest niemożliwe. Jeśli wieki poprzednie, zwłaszcza XVII-y, wykazały, że taki związek wobec biegu zdarzeń nie może się utrzymać przy przewadze polskiej, to dzieje wieku XVIII-go, a zwłaszcza XIX-go udowodniły, że taki związek nie wytrzymał próby życia przy przewadze, ściśle powiedzmy władaniu, rosyjskim. Niemożność połączenia tych dwu państw w jeden związek państwowy jest bowiem niewątpliwym doświadczeniem 500-letnich stosunków polsko-rosyjskich, doświadczeniem, którego jaskrawość wystąpiła właśnie najdobitniej w nocy 29 listopada.

Byłoby zaprzeczeniem rzeczywistości budowanie na tej podstawie wniosku, że te państwa muszą trwać we wrogiej kolizji. Niewątpliwie noc listopadowa niejedną chmurę zmartwień sprowadziła na głowę genialnego polskiego ekonomisty i ministra skarbu Lubeckiego, gdy stanął przed faktem, że strzały brutalnie zerwały tę gospodarczą linię rozwoju Królestwa Polskiego, która zrodziła się w krótkim okresie 1815-1830. Wykazały bowiem potem dalsze nasze dzieje, a ponownie tę prawdę, że związki gospodarcze Polski i Rosji, uwarunkowane pokojowym a nawet przyjaznym współżyciem, były zawsze i muszą być z widoczną korzyścią dla obydwu państw.

Zwycięża w burzach dziejowych zawsze polityka a nigdy ekonomia. Niewątpliwie jednak po burzach wojenno-politycznych wracają do głosu na czas codzienny sprawy gospodarcze i wtenczas współpraca polsko-rosyjska staje się nakazem obopólnych, dobrze zrozumianych interesów.

III.

To byłyby te pierwsze wskazania ogólne, a dodatnie Powstania Listopadowego na chwilę dzisiejszą. Czasy jednak tuż z przed wybuchu powstania przywieść nam muszą na myśl jeszcze drugą prawdę historyczną, którą my Polacy rozumiemy aż zbyt dobrze, a niestety nie rozumie wystarczająco Europa, zwłaszcza zachodnia.

Wybuch Powstania Listopadowego wywołany został i to bezpośrednio nie tylko brutalnością czynników rosyjskich, wkraczających w sprawy polskie, nie tylko niezorganizowaną porywczością podchorążych i Wybickiego, ale nastrojem całego narodu polskiego. Aleksander I-szy pozyskał polskie społeczeństwo po załamaniu się epopei napoleońskiej przyrzeczeniem, poźniej niedotrzymanym, przyłączenia ziem ruskich, czyli tak zwanych Kresów, do Królestwa Polskiego. Aleksander sprawę odkładał, a natomiast Mikołaj I. kategorycznie odmówił, nie czyniąc z tego tajemnicy.

W tej to sprawie właśnie tkwił najbardziej zasadniczy powód odmiennego ustosunkowania się narodu polskiego, nie tylko w części "królewiackiej," ale w swej całości, do Aleksandra I a Mikołaja I. Nic dziwnego też, że gdy tuż po wybuchu powstania delegacja Rady Administracyjnej udała się do Wielkiego Księcia Konstantego, który jeszcze z wojskiem rosyjskim bawił w Warszawie na Wierzbnie, to zażądała przede wszystkim gwarancji, że "Kresy" wrócą w skład Królestwa Polskiego. Wielki Książe przyrzekł i to mu ułatwiło wycofanie się z wojskami z terenu Królestwa, zresztą z wojskami, które, na dobrą sprawę, wystarczały na opanowanie z powrotem i zgniecenie Warszawy. Błędów bowiem wojskowych w powstaniu 1830/31 popełniono bez liku, nie tylko ze strony polskiej, ale także rosyjskiej.

Przypomniałem obszernie sprawę "Kresów" i delegacji do Wierzbna, gdyż to jest to drugie wskazanie Nocy Listopadowej, stwierdzające, że bez uregulowania sprawy t.zw. "Kresów" nie ma stałego rozwiązania sprawy polsko-rosyjskiej.

IV.

Wreszcie, jako wskazanie trzecie walk 1830/31 pozostają wskazania wojskowe. Bodaj nigdy w dziejach Polski z taką dozą prawdy historycznej nie możemy stwierdzić, jak właśnie przy Powstaniu Listopadowym, żeśmy mieli najlepszego żołnierza w Europie. Tomy już o tym napisać by można o ówczesnych wartościach polskiego żołnierza.

W piechocie to był żołnierz z Saragossy z tymże samym Chłopickim, tylko *może jeszcze* lepiej wyszkolony, a gdy "Czwartaki" szły na bagnety, nie było im równych. Kawalerią Dwernickiego rządził duch Somosierry, a polska artyleria zbierała wiekopomne laury Bema. Nie mniej jednak prawdą jest, że żołnierz walczy a wódz wygrywa. Karta żołnierska rozeszła się na ogół w tym powstaniu z kartą wodzów, lecz tylko częściowo, bo pozostały dalej nazwiska Chłopickiego, Prądzyńskiego, Rybińskiego, czy Dembińskiego, wraz z symboliczną postacią gen. Sowińskiego.

Ponad wszystkim jednak pozostał wśród doświadczeń fakt, że nie żołnierz, ale właśnie wódz musi być człowiekiem realnych obliczeń i realnych przewidywań. Żołnierz polski był lepszy od rosyjskiego, ale to był jednak stosunek 1 do 3. W lotnych nadziejach stosunek ten miał być wyrównany interwencją francuską, która, jak wiadomo, zawiodła, a i Paryż chociaż był po rewolucji lipcowej nie ruszył z martwego punktu.

Przegraliśmy, by rozpocząć, jak zawsze, nieśmiertelną walkę na nowo.

V.

Podjęliśmy wówczas w wieku XIX-ym tę walkę na nowo, najpierw politycznie, a potem raz za razem wojskowo. Weszliśmy w tę nową fazę już z doświadczeniami Powstania Listopadowego, niestety z doświadczeniami, które nie opanowały ogółu, czy nawet większości. Najlepsi jednak, jak to udowodnił rok 1863, wcześnie zrozumieli, że trzeba w tej walce iść rozbudową wszerz, wciągać do ochotniczej służby Ojczyzny wszystkich. Wyjść poza ramy klasy, a nawet służby ochotniczej! Podnosiły się już w ciągu wieku XIX, a podnosić się będą jeszcze co raz bardziej, gromy krytyk i oskarżeń pod adresem tych, którzy nie dość wcześnie zrozumieli, że podstawę tej nieprzerwanej walki o byt i siłę państwa polskiego musimy co raz bardziej rozszerzać i rozbudowywać.

Historia nigdy nie powtarza się. Stanowi spiralę rozwojową nachyloną ku co raz nowym elementom, ku co raz nowym zagadnieniom i sytuacjom. To zaś jest tym ostatnim wskazaniem, które nam niesie pamiętna noc 29 listopada.

Musimy iść na przód ku przyszłym naszym dziejom z całą świadomością, że przychodzą co raz to nowe czasy, nowe idee, nowe obowiązki i nowe cele, a powrót do dawnego—to osłabianie własnej prężności i siły dziejowej. Nikt tak szczerze i wysoko nie stawiał idei "powrotu do dawnego," do zasad szlacheckiej tradycji i wyłączności, jak Targowiczanie, a chociaż w olbrzymiej swej większości nie byli zdrajcami z przekonania, zawinili wobec Polski, jak zdrajcy.

Nie wolno więc Polakowi, nawet w tej ciężkiej chwili obecnej, za cenę promiennych wspomnień z naszej przeszłości, zapomnieć o twórczych wskazaniach naszych dziejów na przyszłość. Byliśmy wielcy tylko tolerancją, tylko uznawaniem także praw innych i wtenczas byliśmy polskim *commonwealth'em* wschodniej Europy, tak, jak Anglia jest brytyjskim *commonwealth'em* różnych części świata.

W tym to duchu podstawę walki wojskowej i politycznej o Polskę musimy co raz bardziej i bardziej rozszerzać, pamiętając, że Polska wtenczas umiała być najsilniejszą na Wschodzie, wtenczas najlepiej umiała bronić wszystkich praw polskich, gdy była tą przysłowiową "dobrą matką"—dla wszystkich!

Olgierd Górka

Gen. Sikorski na Bliskim Wschodzie

Wyjazd Naczelnego Wodza na afrykański front wojenny ma dla nas, żołnierzy wszystkich broni, walczących tutaj, albo gotujących się do walki—jedno zasadnicze znaczenie. Jest zewnętrznym znakiem, symbolicznym aktem jedności Polskich Sił Zbrojnych, gdziekolwiek one powstają, na jakimkolwiek walczą odcinku w tej wielkiej wojnie, największej, jaką świat oglądał.

Los tak chciał, że Polacy muszą się zwoływać w szeregi na czterech kontynentach. To wola nasza każe nam zgłaszać gotowość do walki w każdym miejscu, na którym się ona rozgrywa. Ale gdziekolwiek się zbieramy: na zawołżańskich stepach, w głębi Kanady, wśród zielonych i zamglonych wzgórz Szkocji, gdziekolwiek wychodzimy na spotkanie z wrogiem: w chmurnym niebie Londynu, w przestworach Atlantyku, czy w białej od słońca pustyni libijskiej—dzieje się tak w imię tej samej sprawy, pod tymi samymi znakami, z nakazu jednej wierności.

Właśnie to wyraża podróż Generała Sikorskiego do naszych kolegów-żołnierzy Brygady Karpackiej. Oni, po kampanii wrześniowej, norweskiej, francuskiej, po "Battle of Britain," po tysiącznych starciach morskich, które nie mają imienia—wnoszą nowy wkład, wpłacają nowy trybut krwi w tej walce o prawa Polski, o prawa każdego narodu, który chce być wolny i każdego człowieka, w którym nie zmarniał instynkt wolności, nieodłączny od instynktu życia. Powiedział to Generał Sikorski strzelcom karpackim w imieniu własnym, w imieniu nas wszystkich.

Przyjazd Naczelnego Wodza na Bliski Wschód wywołał znaczne poruszenie. Mamy tam tradycyjnie dobre imię i nowa jednostka polska dobrze się na to imię zasługuje. Generał był zapytywany o rozmaite rzeczy i na wiele pytań odpowiedział. Chcemy tu tylko zanotować to, co dotyczy nas, żołnierzy i naszego zadania.

Wymowne jest pod tym względem echo, jakie słowa Generała Sikorskiego znalazły w dzienniku arabskim "Al Misri," który stwierdził, że mają one swoją wagę nie tylko dla Polski, ale dla każdego kraju, walczącego o wolność.

"Dobrze powiedziałeś, Generale Sikorski—*czytamy w tym dzienniku*—że nie zginie naród, który nie wydał Quislinga. Jest to prawda, że tylko szaleniec może myśleć, iż zdoła złamać opór 30 milionów patriotów. Twój kraj zmartwychwstanie Panie Generale, i odzyska znowu niepodległość. Każde serce w Egipcie bije w jeden rytm z sercami naszych polskich przyjaciół."

Na terenie Afryki Naczelny Wódz odwiedził wszystkie oddziały i ośrodki polskie: ośrodek zapasowy, legię oficerską, szpital, w którym przebywaja żołnierze ranni w Tobruku. Nie zawahał się także przed wejściem w obręb tej twierdzy, gdzie spędził cała dobe. Pierwsze kroki w Tobruku skierował na cmentarz z polskimi świeżymi grobami. Później udał się na wysunięte stanowiska oblężonego miasta. Oto, jak tę wizytę opisuje William Forrest, specjalny korespondent "News Chronicle" z 18-ego b.m.:

"Oficerowie i szeregowi byli na równi wzruszeni dramatyczna wizytą swego wodza. Przyjęli go entuzjastycznymi okrzykami, gdy zwiedzał wszystkie wysunięte pozycje.

Spotkał on, w czasie swego przeglądu, patrol polski, który dopiero co się odznaczył wzięciem do niewoli 5 włoskich jeńców. Ci Włosi należeli do obsługi baterii, a Polaków wysłano z nakazem nie powracania bez kilku jeńców.

Polacy rozkaz wykonali dosłownie. Nagroda była o wiele wieksza, aniżeli którykolwiek z nich mógł oczekiwać, bo Wódz Naczelny udekorował ich Krzyżem Walecznych.

Byłem razem z Generałem Sikorskim na okręcie, który przywiózł go do Tobruku. Podkreślił on jeszcze raz że to na jego własne, naglące życzenie przysłano tutaj wojsko polskie.

"Chciałem nareszcie skończyć z tym niedorzecznym poglądem, że Polska prowadzi wojnę tylko z Niemcami a nie z Włochami. Kto walczy razem z Niemcami, jest wrogiem Polski."

Pobyt Naczelnego Wodza w Egipcie, rozmowy, jakie odbył, wywiady jakich udzielił, dotyczyły nie tylko Brygady Karpackiej, jednostki już gotowej i wprowadzonej w akcję, ale otworzyły perspektywy na nowe możliwości pomnożenia Polskiej Siły Zbrojnej w Rosji. Istnieje tam już zorganizowana, ekwipująca się i doszkalająca 60-tysięczna armia. Generał Sikorski oświadczył dziennikarzom, że są rzeczywiste dane do podwojenia, prawie potrojenia cyfry—do 150 tysięcy ludzi.

Jest w tym głęboka i przejmująca symbolika, przed którą nie może nie drgnąć żadne serce żołnierskie, żadne serce polskie, że we wszystkich ziemiach, kiedyś nikomu nieznanych, a dziś głośnych na cały świat sieją się nowe groby polskie, ale i rośnie żywa, niezmożona siła polska. Jest głęboka i przejmująca symbolika w jedności tych grobów i w jedności tej siły. Dał jej wyraz Generał Sikorski. My żołnierze jesteśmy szczęśliwi, że stało się to w przeddzień brytyjskiej ofensywy w Libii. Jesteśmy szczęśliwi, że jeśli nie mogliśmy być u naszych kolegów, my wszyscy—był Pierwszy z nas. Jestemy szczęśliwi, że jeśli jeszcze nie możemy walczyć wszyscy — walczą w swoim imieniu i w naszym imieniu żołnierze Karpackiej Brygady Strzelców.

Aleksander Janowski

Szkic sytuacyjny

UDERZENIE W LIBII

Atak brytyjski w Libii był rzeczą oczekiwaną z dnia na dzień. Wiadome było, że ofensywa brytyjska w Libii nie może się już zbytnio opóźniać i że chwila wyznaczenia ataku zależy wyłącznie od warunków lokalnych: wykończenia pogotowia, pogody, meldunków wywiadu. Uderzenie brytyjskie było koniecznością: bierność frontu libijskiego—*front drugi* istniał bowiem nie od dzisiaj, tylko pozostawał nieczynny—była zjawiskiem przejściowym, albowiem dla każdego obserwatora było jasne, że Anglia musi oczyścić Afrykę z Niemców i Włochów.

Oczyszczenie Afryki z wroga—w Abisynii tępi się wolno ostatnie ośrodki oporu w strefie Gondaru—jest zadaniem o doniosłym znaczeniu dla całego przebiegu wojny. W ten bowiem sposób tworzy się zwarty kontynent, wolny od nieprzyjaciela, i będzie się miało do czynienia z dwoma niepewnymi "*neutrałami*": Hiszpanią w Afryce oraz Francją afrykańską. Jest jednak oczywiste, że zachowanie się tych "neutrałów" będzie nieco inne, jeżeli poczują za plecami potęgę brytyjską.

Marsz w Libii rozwija się pomyślnie. Angielskie koła urzędowe uważają słusznie, że jest to przede wszystkim starcie czołgów i że to starcie zadecyduje. Nie wiadomo, ile czołgów Rzesza zdołała zgromadzić, a ile czołgów włoskich pozostało z poprzedniej masakry. Ostatnie doniesienia mówią, że czołgi nieprzyjacielskie opierają się twardo i że lotnictwo brytyjskie ma pełne ręce roboty, bombardując Niemców i Włochów. Przewiduje się dzisiaj, że zmagania maszyn w pustyni zachodniej potrwają jeszcze parę dni.

Koła angielskie oceniają, że w pierwszym marszu na przód ku Tobrukowi zdołano wybić *połowę* nieprzyjacielskiej siły czołgowej. Byłoby to nader pocieszające. Jeżeli tak istotnie jest, to do końca tego miesiąca los batalii libijskiej winien być *zadecydowany*. Dodajmy jednak od razu, że Anglicy stawiają sobie zadanie skromne i że powiadają na wstępie, iż główną ich troską i celem jest zniszczenie *sił żywych* nieprzyjaciela, wytracenie czołgów i wyprzątnięcie maszyn niemieckich i włoskich z nieba Libii.

JAKA MOŻE BYĆ REPLIKA?

Czym i jak na to wszystko odpowiedzieć może Rzesza? Może przekreślić Libię, kazać von Rommlowi bronić się do ostatka, zgodzić się na *klęskę*. Może jednak również puścić w ruch jakiś bliżej nam *nieznany* plan /uderzenie przez Hiszpanię na Marokko hiszpańskie albo dalej, próba uzyskania przemarszu przez Marokko francuskie?/ Może również wprawić w ruch swoje bazy lotnicze na *Sycylii* i na *Krecie*, chociaż ryzyko jest duże, albowiem bombowce niemieckie musiałyby lecieć bez osłony myśliwców /zbyt wielki dystans/.

Zmaganie się w Libii jest ważną, bardzo ważną operacją. Jest próbą sił, jest treningiem armii brytyjskiej, która została wyposażona w sprzęt zarówno angielski, jak amerykański. Trening ten da tak bystrym dowódcom jak ci, którzy trzymają w swoich rękach decyzję w Libii, wiele cennych nauk, wskazówek, ocen na przyszłość.

Szybkość postępowania wojsk brytyjskich w zachodniej pustyni nie jest rzeczą obojętną. Powinna ona być znaczna, jeżeli opory w saku między *Sollum a Tobrukiem* nie będą zbyt poważne. Fala ataku winna tym razem sięgnąć szybciej po tę linię, którą osiągnął swojego czasu gen. Wavell, uderzając z niepomiernie słabszymi siłami.

FRONT SOWIECKI

Komunikat niemiecki głosi zajęcie Rostowa, sowiecki mówi o walkach w bezpośrednim pobliżu miasta. Jeżeli Rostów padł, nie jest w tym nic dziwnego: opór sowiecki na przedpolu miasta był doskonały i długotrwały.

Zagadnieniem, które stoi obecnie przed strategią sowiecką jest zgoła proste: utrzymać fronty pod Leningradem i Moskwą "sztywne," zmusić Niemców *do wojny okopowej*, natomiast na południu zrobić wszystko, ażeby Niemcy nie próbowali dalej iść przez szyję Przedkaukazia i by nie zdołali sforsować przejścia z *Kerczu na Kaukaz*.

Miejmy nadzieję, że na te wszystkie złożone wielce zadania, dowództwo sowieckie jest przygotowane, albowiem pomiędzy pierwszym szturmem na Perykop i Krym a zajęciem Kerczu upłynęło sporo czasu. Obrona Kaukazu wysuwa się na stanowisko pierwszoplanowe.

Obrona Kaukazu musi być podjęta przez zjednoczone siły sowiecko-brytyjskie i zapewne tak będzie. *Samoloty R.A.F.'u już pono biorą udział w walkach nad Krymem.* Wspólny front sowiecko-angielski będzie nie tylko manifestacją, ale najlepszego rodzaju próbą współdziałania na dzisiaj i na jutro /jutro może w rejonie przeduralskim/.

JAPONIA WAHA SIĘ?

Specjalny wysłannik japoński zamierza ułagodzić i ugłaskać Amerykę. Zamiary jego nie zostały jakoś uwieńczone powodzeniem. Biały Dom okazał dużą twardość wobec syrenich śpiewów japońskich.

W odpowiedzi na pokusy tokijskiego wysłannika sekretarz stanu Cordell Hull /czyli minister spraw zagranicznych Stanów Zjd./ zwołuje naradę ambasadorów: W. Brytanii, Chin, Holandii, z udziałem posła Australii. Ustalenie wspólnego frontu na Oceanie Spokojnym jest napewno ważnym zadaniem: trzeba mieć zawczasu plan działania, a wszelkie ustępstwa wobec Japonii odłożyć na lepsze, *powojenne czasy*. Japonia musi być osadzona w miejscu.

Czy jest to jeszcze możliwe? Wydaje się, że Japonia *stacza się szybko ku wojnie*. Klika wojskowa decyduje, rząd jest za wojną, chodzi, zdaje się, tylko o wyznaczenie odpowiedniej chwili. Nie trzeba mieć nadmiernych złudzeń na temat Japonii: waha się ona, to prawda, ale tylko dlatego, że widzi, iż jej wyprawa łupieska nie obędzie się bez ryzyka. Chciałaby ona zmniejszyć to ryzyko i obłowić się tak jakoś, ażeby nikt nie trzepnął po palcach. Rzecz w tym, ażeby Japonii powiedzieć, że każdy ruch ręki skończy się źle. *Powiedzieć i dotrzymać.*

WAŻKIE MIESIĄCE

Miesiące do wiosny 1942 są napewno doniosłe, albowiem są to miesiące *rozlicznych akcyj, działalności, zmagań*. Zobaczymy, *jak zniesie zimę rosyjską armia niemiecka*. Czy zdecyduje się na okopanie na północy a ruchy na południu, czy też jednak będzie się starała pchać dalej i na północy? Zobaczymy, jak będą rosły *straty niemieckie*, jak będzie na tym wszystkim wychodził *tzw. moral* społeczeństwa niemieckiego. Zobaczymy jak przedstawiać się będzie akcja w Afryce, jaka będzie odpowiedź niemiecka /o ile będzie w ogóle/ w tej strefie, co będzie montować Rzesza na wiosnę.

Miesiące zatem zimy są istotnie brzemienne w następstwa i przyszły historyk zaliczy je do doniosłych momentów tej wojny, składającej się z nagłych rozżagwień i długich okresów spokoju.

Londyn, 23 listopada, 1941.

Zbigniew Grabowski

Braterstwo rodzi się we krwi

Wpływ Bizancjum i Rzymu, napór madziarski i niemiecki, a później krwawa granica zasięgu tureckiego rozdzieliła trzy bratnie plemiona. Jedne językiem i starodawną pieśnią, jak Serbowie i Chorwaci, lub blisko dwum tamtym narzeczem pokrewne, jak Słoweńcy, zróżnicowali się przez ciąg stuleci. Mają odmienne dzieje, różną budowę społeczną. Mają trzy religie, dwa alfabety, dwie literatury. Jedno mają wspólne: umiłowanie wolności, dumę plemienną i osobistą oraz niezmożony pęd do niezawisłego bytu, to jest to, co cechuje wolne narody.

Serbowie przez wieki zmagali się z Półksiężycem, aż wywalczyli swobodę. Chorwaci, w republikach nadmorskich, przeciwstawiali się Wenecji, a w sejmie zagrzebskim—unitarnym zapędom korony św. Szczepana. Słoweńcy, drobny lud, wystawiony od dawien dawna na ciosy niemczyzny, pracowicie osiągnęli świetne odrodzenie narodowe. Dojrzewali do zjednoczenia, za którym tęsknili. Zjednoczenie dla nich—to wolność trzech członów Południowej Słowiańszczyzny. Bez niego—muszą paść ofiarą drapieżnych sąsiadów. Zamiast dawnego niebezpieczeństwa tureckiego piętrzy się dziś niemieckie, włoskie i węgierskie.

Podczas poprzedniej wojny światowej Serbia złożyła najcięższą daninę krwi. Miała dynastię własną i opromienioną bohaterstwem, miała zrąb państwowości. Stała się więc dla całości ośrodkiem. Chorwaci i Słoweńcy, wyzwoleni z niewoli węgierskiej i austriackiej, przynieśli pobratymcom swoją dojrzałość kulturalną i natchnione słowo swych mężów politycznych. Tak urosło zjednoczenie.

Ojczyzna pławiła się jeszcze w pożodze wojennej, gdy w Pittsburgu zawarto wiekopomny pakt między przedstawicielami trzech południowo-słowiańskich narodów. Stał się on koroną długoletniego procesu ideowego. Położył podwalinę pod Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców /S.H.S./ i pod wyrosłe z niego z królem-witeziem Aleksandrem na czele Królestwo Jugosławii. Dlatego to rocznica tego paktu jest jugosłowiańskim świętem państwowym, obchodzonym uroczyście co 1-go grudnia.

Dziś Królestwo Jugosławii walczy o byt narodowy znowu. Młody sokół Południowej Słowiańszczyzny, król Piotr II, śmiało wstąpił w ślady ojca i dziada. Za jego przewodem naród wybrał ciężką walkę, zamiast ugody i hańby.

Wybrał, co mu podszepnął geniusz narodu. Krew przelana za wolność nie idzie na marne. Tak głosi odwieczna pieśń—epos niezłomnego ludu. Zwaśnionych zjednoczy, wątpiących przekona, stworzy zaczyn trwałej wspólnoty ponad-plemiennej, prawdziwie narodowej.

Niegasnący odpór, jaki Jugosławia w swych górach daje wrogowi, przenosi nas myślą w nasze lasy, gdzie dotąd padają celne strzały. Echem idą od Tatr ku Bałkanom. Wrogom dźwięczeć muszą potężnym słowem Ivana Mažuranića, gdy w "Śmierci Smail-agi" woła:

—Drżyj przed tymi, którzy zwykli
nie w jękliwym konać bólu! . . .

Antoni Bogusławski

Odwet świata podziemnego

I.

NIEROZWIĄZANA ZAGADKA

Istota hitleryzmu jest dla świata cywilizowanego zagadką, której do tej pory nie był w stanie rozwiązać. Jeżeli tak wiele razy Hitler mógł zaskoczyć świat swymi posunięciami, jeśli wciąż na nowo sprawiał niespodziankę, to po prostu dlatego, że opinia światowa nie zdołała bodaj do tej pory zdać sobie dokładnie sprawy, czym Hitler i hitleryzm jest naprawdę.

Świat próbował tłumaczyć sobie zagadkę hitleryzmu na różne sposoby. Czego tu nie było! Jedni widzieli w hitleryzmie tylko nowe wcielenie odwiecznego, jak świat starego imperializmu niemieckiego. Cytując słowa Tacyta o Germanach mieli gotową formułkę na wszystko: Niemcy zawsze jednacy—dwa tysiące lat temu, czy dzisiaj. Jest w tym zresztą bardzo wiele prawdy. Ale choć formuła jest prawdziwa, to jednak nie wystarcza bynajmniej, aby zrozumieć istotę hitleryzmu.

Byli tacy, którzy mówili o "powrocie średniowiecza," obrażając ten okres dziejów w sposób wysoce niesprawiedliwy. Niemcy hitlerowskie przywróciły średniowieczne ghetto, ale poza tym podobieństwo jest niewielkie. Jeżeli już jest powrót, to do okresu znacznie bardziej odległego. Sam Rosenberg, teoretyk narodowego socjalizmu, powiedział kiedyś, że symbolem idei Rzeszy jest dla hitlerowców saksoński książę Wittekind—obrońca barbarzyństwa i pogaństwa, zwyciężony przez Karola Wielkiego w 785 roku. Istotnie, powrót do barbarzyństwa i pogaństwa nastąpił. Ale i to nie wyczerpuje zagadnienia. Niemcy hitlerowskie są pod wieloma względami niesłychanie nowoczesne. Są one produktem wieku XX-ego tak samo, jak gangsterzy amerykańscy.

Jest wiele innych wyjaśnień hitleryzmu. Dla komunistów jest on tylko jedną z form faszyzmu, choć w rzeczywistości, pomimo zewnętrznych podobieństw, istnieje pomiędzy obu zjawiskami rozbieżność. Faszyzm ma jakieś poglądy, jakąś ideę. Hitleryzm może się stroić w piórka ideologiczne, ale w rzeczywistości jest z ideologii niemal chemicznie wyprany.

Niewątpliwie dla całej plejady Quislingów, Mussertów, Pétainów i Antonesców jest hitleryzm wzorem "rewolucji narodowej." Sukces "ideologii" hitlerowskiej sprawił, że wielu przeciwników Hitlera woła o rewolucję, której hasło powinny rzucić demokracje, aby skutecznie móc się przeciwstawić truciźnie hitleryzmu.

Jesteśmy więc w pełnym chaosie pojęć. Nie wiemy z czym walczymy. Czy z nowym wcieleniem wiecznych Niemiec—z Hitlerem, jako nowym Bismarckiem lub Wilhelmem? Czy z falą powrotną pogaństwa i barbarzyństwa? Czy z ruchem rewolucyjnym?

Walczymy bodaj z tym wszystkim. Ale przede wszystkim walczymy z największym, jedynym w historii, na fantastyczną skalę zakrojonym sprzysiężeniem świata zbrodni.

Wyszło z podziemi i ruszyło do walki wszelkie zło, jakie było w świecie. Dżungla podziemna zapragnęła wziąć odwet na świecie prawa i cywilizacji.

Przyjrzyjmy się bliżej wodzowi tej "rewolucji," jej bohaterom i jej szermierzom. Dopóki bowiem nie zdamy sobie dokładnie sprawy z istoty zjawiska, dopóty będziemy wciąż na nowo zaskakiwani przez posunięcia Hitlera.

ON

Adolf Hitler jest postacią niepowszednią. Jego kariera jest zawrotna. Jego potęga chwilowo bezprzykładna. Jego wpływ na naród niemiecki zadziwiający. Czy jest geniuszem? Być może. Ale w każdym razie geniuszem bardzo specjalnym.

Kariera Hitlera różni się zasadniczo od kariery wszelkich innych wielkich postaci historii, czy to wodzów, czy mężów stanu, czy proroków. Są pewne prawa, które rządzą od wieków karierami wielkich ludzi. Niemal zawsze, już we wczesnej swej młodości, przyszły wielki mąż zdradza swą wielkość. Ujawnia swój geniusz, narzuca się jako przywódca swemu otoczeniu, imponuje swymi zdolnościami. Kariery bywają szybsze lub powolniejsze, ale niemal zawsze rozwijają się etapami.

Jakże inna jest kariera Hitlera! Zaczyna się ona głębokim upadkiem bodaj na samo dno społeczeństwa. Hitler pochodzi z rodziny urzędniczo-mieszczańskiej. Czy w swej młodości wspina się wyżej, czy zwraca na siebie czyjąkolwiek uwagę, czy wyróżnia się czymkolwiek, czy zdobywa sobie uznanie, popularność, pozycję przywódcy? Bynajmniej! Przeciwnie spada co raz niżej. Jego nadzieje kariery artystycznej zostają zawiedzione. Nikt nie poznaje się na jego "malarstwie." Zamiast stać się artystą, spada do roli malarza pokojowego.

Ale i w szeregach proletariatu nie może sobie wyrobić pozycji. Nie umie pracować, a jego politycznych występów nikt nie bierze poważnie. Nie ma przyjaciół. Nie kocha go żadna dziewczyna. Z rodziną zerwał, lub ona z nim zerwała. Stacza się w przepaść. Jest gościem wiedeńskich przytułków, mieszkańcem jakiegoś "Cyrku." Znajduje się poza nawiasem społeczeństwa.

Ale to jeszcze nie kres jego upadku. Przychodzi wojna. Wojna, która powinna być dlań wybawieniem, a jest tylko nową poniewierką. Cztery lata wojuje, a nie może zaawansować wyżej, niż na starszego strzelca—w wojnie, w której awansowało się szybko. Znów nie ma przyjaciół wśród kolegów, nie znajduje uznania u swych przełożonych. Nie jest uważany za godnego dowodzenia najmniejszym choćby oddziałem. Podobno przez długi czas jest ordynansem.

Wojna kończy się. Hitler nie ma przed sobą żadnych widoków. Nikt nań nie czeka, nikt go nie potrzebuje, nikt nań nie zwraca uwagi. Wyżebruje posadkę szpicla na usługach żandarmerii—osiąga dno upadku moralnego.

Tego wszystkiego nie może przekreślić późniejsza, najwspanialsza choćby kariera, którą zawdzięcza okolicznościom, hypnotycznemu działaniu na masy, moralnemu kryzysowi społeczeństwa niemieckiego i t.d.

Trzeba przyznać, iż fakt osiągnięcia władzy przez tego rodzaju człowieka jest rzeczą bez precedensu w ludzkości. Istoty hitleryzmu nie można sobie uświadomić, jeśli się nie będzie miało zawsze na uwadze tych wszystkich kompleksów, jakie muszą nurtować duszę człowieka o niesłychanej ambicji i zarozumiałości, który znalazł się poza nawiasem społeczeństwa, a w kilka lat później ma sposobność wziąć na tym społeczeństwie odwet.

Znalazłszy się raz u władzy, Hitler będzie się mścił. Będzie się mścił na społeczeństwie, w którym nie było dlań miejsca, na sztuce, która widocznie była "zdegenerowana," skoro jej przedstawiciele nie dopuścili "artysty" Hitlera do akademii sztuk pięknych, na całym systemie polityczno-społecznym, w którym on był pariasem; na mocarstwach, których zwycięstwo pogrążyło Niemcy w nędzy, spychając i jego, Hitlera, do poniżającej roli. Im większy był jego upadek, tym silniejszy będzie jego głód władzy. Upadł tak nisko, jak tylko to jest możliwe. Będzie chciał wywyższyć się ponad najpotężniejszych władców historii.

JEGO LUDZIE

Dokoła Hitlera zgrupowała się szajka, godnie reprezentująca elitę świata wykolejeńców, przestępców i zwyrodnialców.

Nic może lepiej nie reprezentuje charakteru "rewolucji narodowo-socjalistycznej" jak osoba jej głównego bohatera. Kim jest Horst-Wessel, którego nazwiskiem ochrzczony został hymn hitlerowski, ów "Horst-Wessel Lied" mający wyprzeć Marsyliankę? Jaki czyn zapewnił mu sławę i opromienił jego nazwisko blaskiem legendy?

Według urzędowej historii, zginął w walce z komunistami. W rzeczywistości poniósł śmierć w okolicznościach znacznie mniej romantycznych. Po prostu będąc alfonsem, pobił się z kolegą po fachu na tle zatargu o zakres "Lebensraumu," jaki miał należeć do protegowanej przezeń dziewczyny ulicznej.

Taki jest bohater hitlerowskiej legendy.

Aleksander Boray

Czy Polska obchodzi Wielką Brytanię

Drukujemy przekład artykułu wybitnego polityka i posła do Parlamentu Brytyjskiego z grupy konserwatywnej. Artykuł niniejszy ukazuje się jednocześnie w oryginalnym tekście angielskim w nr. 54 dwutygodnika "Free Europe." Było by wskazane, aby czytelnicy, którzy zainteresują się tym artykułem napisali do autora /adres: capt. Alan C. Graham M.P. London, House of Commons/ listy, określające ich stosunek do wyrażonych tutaj poglądów. Jest to zwyczaj powszechnie przyjęty w Wielkiej Brytanii.

Red.

Zdając sobie w całej pełni sprawę z tego, że wolność trzeba opłacać wieczną czujnością, każdy mądry władca Wielkiej Brytanii obserwował uważnie nie tylko wydarzenia w Holandii i Francji, ale w ogóle wszystko, co się działo na kontynencie. Wielki Marlborough tak dobrze zdawał sobie sprawę z roli, jaką odgrywały w jego kampanii przeciwko Ludwikowi XIV tarcia rosyjsko-szwedzkie, że podjął podróż nad Bałtyk, aby rzucić na szalę tych spraw swój wpływ osobisty. Jeszcze przed wynalazkiem parowozu, granica nasza często była nad Renem. Wprawdzie, za czasów Marlborough i Wellingtona, patrzyliśmy z tej naszej granicy nad Renem w stronę zachodu a nie wschodu jednakże nie ulegało wątpliwości, iż zagadnieniem żywotnym dla naszego bezpieczeństwa i pomyślności była strategiczna wspólnota frontów po obu bokach naszego ówczesnego wroga, Francji.

O ileż istotniejsze jest to dzisiaj, gdy samolot nie tylko zniósł pojęcie czasu, ale wzmógł jedność strategiczną, łącząc różne fronty linią powietrzną. Tak samo, jak wyspy, dzięki komunikacji lotniczej, przestały być wyspami, tak samo niemożliwe jest dziś odosobnienie polityczne, gdy niebo stoi otworem tak dla przyjaciół jak i wrogów. Już w roku 1914 strzał z pistoletu w dalekim i nieznanym Serajewie rozpętał wojnę światową i rzucił żałobę na domy aż w Władywostoku, Liverpoolu i Sydney. Można odwrócić pewne angielskie przysłowie: "*Everybody's business is nobody's business*" i powiedzieć, że w epoce samolotu "każda sprawa obchodzi wszystkich".

* * *

Ś.p. Sir Austin Chamberlain, autor paktu locarneńskiego, powiedział w roku 1935: "Jest to w polityce rzecz ogólnie znana, że w interesie Wielkiej Brytanii leży zachowanie pokoju. Dla Wielkiej Brytanii jest to jedna ze spraw najważniejszych. Nie można więc odmówić słuszności naszym staraniom, aby utrzymać pokój, chociaż nie należy do naszych obowiązków jego gwarantowanie za wszelką cenę. To prawda, że polski "korytarz," ani Górny Śląsk nie mają dla nas znaczenia *bezpośredniego*, i odpowiedzialność za sprawy z nimi związane nie należy oczywiście do naszych obowiązków. Lecz, gdyby z ich powodu wynikł jakiś konflikt, to któż może nam zaręczyć, że pozostaniemy poza jego obrębem, i że nie *powtórzy się nasze doświadczenie z roku* 1914-*go*."

Właściwie, przechodzimy w tej chwili przez "powtórne doświadczenie roku 1914." Dlaczego? Dlatego, że w okresie 1919-1939 nie zrozumieliśmy, iż silna i wolna Polska tak samo należy do spraw *bezpośrednio* dotyczących Wielkiej Brytanii, jak silna i wolna Francja, jak niepodległa Belgia czy Holandia, dość silne na to aby razem z nami stawić czoło napaści niemieckiej.

Od czasów kardynała Wolsey'a polityka zagraniczna Anglii przestrzegała w każdym stuleciu najważniejszej zasady i nakazu niedopuszczenia do tego, aby jakiekolwiek państwo uzyskało przewagę w Europie i dzięki temu mogło przeciwko nam zmobilizować cały ten kontynent. Jest to ciągle sprawa dla nas zasadnicza, a jednoczesne istnienie różnych koalicji, jakiegoś "świętego przymierza" czy Ligi Narodów bynajmniej nie zmniejsza, przeciwnie podkreśla znaczenie tej sprawy.

Od czasów Napoleona I, który wycieńczył Francję pod względem ludnościowym, jedynym krajem, który miał zarazem zamiar i możliwość zmobilizowania Europy przeciwko nam były pruskie Niemcy. W latach 1918-1939 wyobrażaliśmy sobie, że przed tym mocarstwem chroni nas puklerz, jaki stanowi Norwegia, Holandia, Belgia i Francja. Nigdy nie przyszło nam na myśl, że jeśli także *bezpośrednio* na wschód od Niemiec nie znajdzie się silne państwo, to Niemcy pochłoną wpierw swych słabych, wschodnich sąsiadów, by potem, już zupełnie bezpiecznie, odwrócić kierunek, rozbić po kolei nasze tarcze na zachodzie i zrobić z nich odskocznie do ataku, wymierzonego przeciwko nam. Groźby tego ataku, jak dotąd, jeszcze od nas nie odwrócił heroizm Rosji.

Zbyt długo łudziliśmy się myślą, że Wschodnia Europa obchodzi przede wszystkim Francję, a nas właściwie nie obchodzi. Myśląc o strategii (jeśli w ogóle o tym myśleliśmy), liczyliśmy się z warunkami doby dyliżansów, a nie braliśmy pod uwagę warunków, jakie stworzyły pojazdy mechaniczne i samoloty, dzięki którym odległości właściwie przestały istnieć. Napoleon powiedział: "kto opanował Antwerpię, trzyma w ręku pistolet, wymierzony w głowę Anglii." O ileż bardziej jeszcze powściągający wpływ na nowoczesne Niemcy miało by silne lotnictwo polskie, skoncentrowane na granicy, nie bardziej oddalonej od Berlina, aniżeli Antwerpia od Londynu. Odpowiednia ilość polskich hydroplanów i okrętów podwodnych nie tylko mogła unieszkodliwić Kilonię, i marynarkę niemiecką na Bałtyku, ale mogła ponadto nie dopuścić szwedzkiej rudy żelaznej do niemieckich fabryk amunicji.

Dlaczego brak było w Polsce tej najważniejszej broni? Dlatego, że oddając się mrzonkom o rozbrojeniu, nie sprzedawaliśmy jej Polsce, tak samo, jak odmawialiśmy jej Grecji, która na długi czas przed wybuchem wojny zabiegała u nas o jej zakup. Dlaczego Polska nie była zdolna wybudować sama odpowiedniej ilości samolotów? Dlatego, że nie miała dostatecznej ilości nowoczesnych fabryk. Dlaczego? Dlatego, że finansjerze Londynu i Nowego Jorku wydawało się "bardziej korzystne" pożyczać pieniądze Niemcom, aniżeli Polsce. Tej Polsce, która w wypadku jakiejkolwiek przyszłej wojny naszej z Niemcami, siłą faktu byłaby naszym sprzymierzeńcem.

Ale nasze zaślepienie, jeśli chodzi o Polskę, jest jeszcze wcześniejszej daty. P. Castelreagh podejmował na kongresie wiedeńskim (1815) wysiłki, aby królestwo polskie odbudować w *całości* dawnych granic, ale p. Lloyd George zlekceważył w Wersalu rady specjalistów z Ministerstwa Spraw Zagranicznych i życzenia p. Clemenceau aby oddać Polsce Gdańsk. Wskutek tego pozostawiono u ujścia Wisły, najbardziej żywotnej arterii wodnej nowego państwa, wątpliwą wartę i wrogą siłę. Na dobitek, odwieczny i bezwzględny wróg, umocnił się nie tylko w Gdańsku, ale i w Prusach Wschodnich i na Górnym Śląsku.

W czasie konferencji pokojowej w Paryżu w r. 1919 pojęcie narodowości było czczone, jak Bóg, a miejsce dziesięciu przykazań zajęły nakazy etnograficzne. Nie dziw więc, że Lloyd George załamał patetycznie ręce na samą myśl przydzielenia choćby znikomej mniejszości niemieckich protestantów katolickiej Polsce. Twierdził, że "prędzej czy później doprowadzi nas to do nowej wojny we Wschodniej Europie." Nawet on nie był w stanie zrozumieć lekcji, jakiej nas uczyła historia przez 700 lat; mianowicie, że Prusacy, posłuszni swojej wilczej naturze, skoro tylko urosną w siłę, pochwycą pierwszy lepszy pretekst czy to etnograficzny, czy też inny, aby zniszczyć Polskę i, jak tylko im to będzie dogadzało "zacząć nową wojnę w zachodniej Europie." Prawdopodobnie nie słyszał nigdy o tym, że Bismarck już w roku 1878 określił dosadnie swe poglądy polityczne względem Polaków jednym słowem: "*ausrotten*"— t. zn. wytępić.

I znowu historia, podnosząc głos, mogła by była pouczyć, że samo istnienie państwa polskiego stało się platformą porozumienia między Niemcami i Rosją, na równi zainteresowanych w jego zniszczeniu, podobnie, jak w dobie rozbiorów Polski. Nie wystarczyło po prostu powiedzieć *Fiat Polonia* (Niech będzie Polska) a nie dać jej jednocześnie materialnych możliwości dźwignięcia się na nogi w obliczu dwu zawistnych i napastliwych sąsiadów. Brak dobrej granicy naturalnej, tak na wschodzie, jak i na zachodzie, był zawsze słabym punktem w dziejach Polski. Na mocy traktatu ryskiego (obie strony wykazały wówczas dużo dobrej woli i zdrowego rozsądku) ukształtowano korzystniej wschodnią granicę Polski, wcielając do niej dużą część błot nad Prypecią. Jednak na zachodzie, z Niemcami i na Górnym Śląsku i na wschodnim wybrzeżu Odry, położenie jej pozostało nieżmiernie trudne. Gorzej jeszcze. Ponieważ Niemcy siedzieli w Prusach Wschodnich i mogli zdławić Gdańsk, kiedy tylko chcieli (jak n.p. w roku 1920)— jeszcze zanim wojna się zaczęła naturalna linia obrony, jaką stanowiła Wisła stawała się atutem nie w rękach polskich, ale niemieckich.

Były to poważne braki. Braki, z których jasno zdawał sobie sprawę niemiecki historyk von Arndt, pisząc w roku 1803, że "Polska zapomniała o tym, iż jej obowiązkiem narodowym była przede wszystkim obrona granic morskich /t.zn. Gdańska i Prus Wschodnich/ i odrzucenie od tych granic rycerzy teutońskich. To zaniedbanie stało się przyczyną śmierci Polski."

Przyczyną braków, które odegrały tak fatalną rolę w dziejach Polski, były w trakcie rokowań pokojowych przed Wersalem dwie sprawy:

1. przesadny wzgląd na stosunki etnograficzne;

2. niechęć Rady Najwyższej, głównie pod wpływem uprzedzeń Lloyd George'a, do uznania w silnej Polsce czynnika zabezpieczającego przed przyszłą wojną z Niemcami, niechęć przyznania, że silna Polska pociąga nieuchronnie osłabienie Niemiec.

Zabezpieczenie się przed powtórzeniem tych samych błędów u końca obecnej wojny jest sprawą zasadniczą dla chrześcijaństwa, cywilizacji europejskiej i dla wszystkich ludzi miłujących pokój. Będzie to możliwe tylko wówczas, gdy europejscy, a przede wszystkim angielscy mężowie stanu będą mieli na tyle odwagi i bystrości, aby ujrzeć niektóre fakty w prawdziwym oświetleniu i odpowiednio działać.

Najważniejszą rzeczą jest to, że póki istnieje zjednoczone państwo niemiecko-pruskie, wszystko jedno pod jakimi rządami, póty sąsiedzi jego muszą obawiać się napaści. Dalej, wynika z tego logicznie, że nie może być mowy o rozbrojeniu czy pokoju w Europie póty, póki istnieje zjednoczone państwo prusko-niemieckie. Zjednoczone państwo niemieckie to twór nienaturalny. Nie zrosło się ono organicznie, jak inne państwa. Powstało w wyniku przemocy i gwałtów Prus nad bardziej kulturalnymi, ale mniej bezlitośnie praktycznymi, niemieckimi i nie-niemieckimi sąsiadami. Siła Prus powstała i wyrosła żerując na organiźmie Polski, zwłaszcza po trzecim rozbiorze, w r. 1795, gdy nastąpiło połączenie Brandenburgii z najzupełniej oderwaną dotąd prowincją Prus Wschodnich. Krzywda ta została tylko częściowo naprawiona w roku 1919-ym; cały ten wysiłek został zresztą wówczas udaremniony przez pozostawienie nietkniętej siły niemieckiej w Gdańsku i Prusach Wschodnich.

Polska jest w tej chwili tak zagrożona zupełnym zniszczeniem, że nie może sobie więcej pozwolić na podobne błędy, godzące w jej interesy a korzystne dla Niemiec. Nie może uzależniać swego bytu po raz drugi nawet od prawdopodobnie sprawniejszego działania jakiejś udoskonalonej Ligi Narodów. Aby uzyskać pewność nieprzerwanego już istnienia, Polska musi być silna. Przyszłość Europy wymaga, aby była silna, i to silna kosztem po trzykroć winnego zbrodniarza Europy, kosztem państwa prusko-niemieckiego.

Jak to zrobić? Na szczęście Hitler wskazał nam sposób, który dla dobra swego państwa Niemcy zastosowali, aby uporać się z niedogodnym zagadnieniem ludności rasowo mieszanej. Przenosi się z całą łatwością Niemców aż z Rygi na wschodzie do centralnych czy nawet zachodnich Niemiec, do Nadrenii czy Alzacji. Dlaczego więc, skoro chodzi o dobro, a raczej o zbawienie Europy, mielibyśmy się wzdragać przed przenoszeniem uległych i gospodarnych Niemców, którzy tak łatwo przystosowują się do nowego otoczenia? Przyszłe bezpieczeństwo Polski i pokój Europy wymagają bezwzględnie:

1. przesiedlenia niemieckich mieszkańców Gdańska i Prus Wschodnich do obszarów niemieckich na zachód od Odry.

2. polskiego panowania nad całym terytorium Pomorza i Śląska na wschód od Odry, i nad wszystkimi przyczółkami mostowymi tej rzeki przez okres lat trzydziestu.*

Jeśli chodzi o pierwszy punkt tych koniecznych posunięć, należy pamiętać o tym, że Prusy Wschodnie są ojczyzną i hodowlą junkra pruskiego i że junkiersko - pruska filozofia życiowa stamtąd właśnie się wywodzi. Jest to także kraj wielkich posiadłości. Nie krzywdząc nikogo poza właściwymi sprawcami zaburzeń europejskich, znajdzie się tu konieczną "przestrzeń życiową" dla ściśniętej i ciągle się pomnażającej klasy polskich robotników rolnych. Dlaczegóż nie mielibyśmy okazać więcej dobroci biednym i pokojowym chłopom polskim, aniżeli nieuleczalnie militarystycznemu ziemianinowi pruskiemu wraz z jego ślepymi naśladowcami? Niemieccy mieszkańcy Gdańska, po krótkim okresie próbnym, będą mogli optować o otrzymanie obywatelstwa polskiego i zostać w mieście, albo też zatrzymać obywatelstwo niemieckie i wrócić do Niemiec na zachód od Odry.

Jeśli chodzi o drugie posunięcie, to powinno nam służyć za wzór podobne, mądre zarządzenie marszałka Focha dotyczące Renu. Gdyby w Wersalu nie odrzucono tej terytorialnej gwarancji bezpieczeństwa Francji, zastępując ją papierową gwarancją biernego przymierza przeciwko Niemcom, przymierza, które później Stany Zjednoczone i Lloyd George odrzucili, to nie udałoby się nazizmowi wprowadzić Niemców do Nadrenii, napewno nie przekroczyliby oni zwycięsko linii Renu a być może, że nawet w samych Niemczech idea nazistowska nie byłaby zwyciężyła. Polska już tak bardzo ucierpiała z powodu nieszczęsnych braków terytorialnych, które zawdzięczała pokojowi roku 1919-go, że nie może po raz drugi narażać się na zagładę, tylko dla przyjemności "ideologów," którzy rozsiedli się wygodnie, mając między sobą a granicą niemiecką ocean, morze i kilka państw buforowych.

Jeśli chodzi o północno-wschodnią granicę Polski, t. zn. Litwę, wydaje mi się, że najlepszym rozwiązaniem byłaby pierwsza propozycja przedstawiona przez belgijskiego męża stanu Pawła Hymansa w roku 1921. Była tam mowa o tym, aby z okręgu wileńskiego i kowieńskiego utworzyć dwa samodzielne kantony, których wspólny rząd miałby siedzibę w Wilnie. To dwukantonowe państwo, którego ludność składała by się w większości z Polaków, współpracowałoby jak najściślej z Polską i zabierałoby także głos w sprawach jej polityki zagranicznej i gospodarczej. Obowiązywałyby języki polski i litewski a mniejszościom etnograficznym zagwarantowano by wszelkie prawa. W ten sposób Polska mogłaby swobodnie posługiwać się litewskimi portami a terytorium litewskie byłoby otwarte dla jej cywilnego i wojskowego ruchu. Umowa wojskowa zapewniałaby jedność dowództwa i organizacji armii na wypadek wojny. W ten sposób odżyłaby historyczna jedność Polski i Litwy z obustronną korzyścią dla obu tych państw i dla Europy.

*Wobec tego, że w niektórych okolicach (np. na Górnym Śląsku) znaczna część ludności jest polska— trzeba będzie dokonać pewnych zmian polskiej granicy zachodniej.

Jeśli chodzi o granice wschodnie (z Rosją i Rumunią) to nie wymagają one żadnych zmian. Według relacji tak p. Joffe, przewodniczącego delegacji sowieckiej, jak i p. Stanisława Grabskiego, przewodniczącego delegacji polskiej, traktat ryski zawarto w nastroju jak najlepszej woli i ustępliwości. Wspólne cierpienia Rosjan i Polaków i właściwie wszystkich prawdziwych Słowian pod jarzmem niemieckim przyczynią się do lepszego porozumienia w przyszłości tych dwu wielkich narodów słowiańskich, a ich wspólny sprzymierzeniec Wielka Brytania musi się starać o pielęgnowanie i utrzymanie tego porozumienia.

Południowe granice Polski będą zabezpieczone przez już zawiązaną federację polsko-czechosłowacką, która pozwoli także na odbudowanie i wzmocnienie bastionu czeskiego w centralnej Europie. Polityka niemiecka zawsze dążyła do różnienia Słowian, aby ich tym łatwiej rozgromić. Dlatego musimy baczyć, aby w przyszłości żadne nowe błędy przy zawieraniu pokoju nie mogły stać się odskocznią dla tych niemieckich marzeń o rozdziale i słabości słowiańskiej.

Nie możemy sobie także sami na to pozwolić, aby na przyszłość nie mieć silnego i pewnego sprzymierzeńca na kontynencie europejskim. Nie jest do pomyślenia, aby Polska mogła pójść w ślady naszego dawnego sprzymierzeńca Francji, poddać się pod wpływy niemieckie. Nie pozwoli na to ani charakter Polaków, ani krew, którą przelali. Nie ma i nie będzie polskiego Darlana czy Quislinga. Polska, to naród całkowicie zjednoczony, młody, bez cynizmu, naród o wielkiej sile moralnej. Dała ona przez te dwadzieścia lat, od roku 1919 zresztą dowód swych praktycznych zdolności twórczych, czego najlepszym może przykładem jest Gdynia.

Historia Polski stanowi nadto dowód, że tak samo, jak my, jest ona zdolna do największego męstwa, pozostając jednocześnie narodem głęboko pokojowym. Była ona zawsze wierna swoim umowom, nawet często wbrew swoim interesom, jak tego dowodzi przymierze z Napoleonem. Nie popadajmy w błąd Napoleona nie doceniając wagi Polski, która, według jego własnych słów, "jest kluczem sklepienia Europy"; to lekceważenie Polski było, jak to przyznał na wyspie Św. Heleny, głównym powodem jego upadku. Hitler w pełni docenia wagę tych słów Napoleona. Dowodzą tego wymownie jego uparte wysiłki wytępienia przede wszystkim Polaków, aby nic nie stało na przeszkodzie całkowitemu zgermanizowaniu świata europejskiego.

Trzeba zabezpieczyć los Polaków, tego najbardziej na zachód usadowionego narodu słowiańskiego, który przez tysiąc lat był przedmurzem Europy, chroniącym ją przed inwazją Tatarów, Turków i przed innymi plagami azjatyckimi. Słaba Polska to niebezpieczeństwo dla pokoju europejskiego. Czy, jako jej sprzymierzeńcy, chcemy ją jeszcze raz skazać na los spływającego krwią męczennika Europy? Cierpiała ona już zbyt wiele, a cierpiała za nasze błędy i naszą niegotowość.

Naprawmy dziś i po wszystkie czasy wyrządzone jej krzywdy.

Alan C. Graham

przekład Antoniny Janowskiej

"YOU CAN HELP TO BUILD ME A GUN"

1.

Gdzieś, w Londynie, stoi fabryka, w której pracuję. Pięć dużych budynków, rzuconych nieskładnie na olbrzymie tło zieleni. Zieleń—to skwery obok wyasfaltowanych jezdni oraz place sportów i gier.

Ta rozrzutność jest zastanawiająca. Czyżby grunty były tak tanie w Londynie czy może "plutokraci" londyńscy tak miłują bliźniego, że nie żałują grosza dla zdrowia swych pracowników; a może to jest po prostu tak samo przez się zrozumiałe, jak to, że kulturalny człowiek nie oszczędza na mydle?

Cały ten zespół gruntów, fabryk i innych zabudowań otoczony jest ozdobnym płotem drucianym, którego widok wzruszyłby Sławoja do łez.

Przypominam sobie nasze fabryki w Polsce: jeśli posiadały czasem zieleń, to była to zieleń pól skrzętnie uprawianych, jezdnie były nie z asfaltu, ale z szutru /—te bardziej luksusowe—/ i z błota, a płoty drewniane lub z drutu kolczastego i istniały nie po to, by zdobić, lecz dla ochrony. W tym kontraście widzę miarę naszej biedy i angielskiego bogactwa.

Ten kontrast jest "leitmotywem" niniejszego reportażu. Będzie w nim wiele krytyki, ale na dnie wszystkiego . . . Ojciec mój, gdy po raz pierwszy odwiedził Paryż i Londyn—a zrobił to w jednej podróży—tak te dwa miasta lapidarnie określił: "Gdy wyjeżdżałem z Paryża, było mi smutno. Gdym wyjeżdżał z Londynu, byłem zazdrosny."

2.

Nie tylko fabryki planuje się tu rozrzutnie. Standard życiowy ludzi, którzy w tych fabrykach pracują jest taki, że dla nas trąci marnotrawstwem. Robotnicy i "*staff*" czyli urzędnicy żyją mniej więcej na równym poziomie materialnym. /Zresztą, mam wrażenie, że i przeciętna zarobków jest ta sama, jeśli się wyłączy dyrekcję/.

Nie ma tu tej przepaści nie do przebycia, jaka dzieli naszego robotnika—niedomytego, w poplamionym i poszarganym ubraniu, w zabłoconych buciorach—od dyrektora, który zajeżdża przed fabrykę limuzyną. Tu "*manager*" ma auto, ale je sam prowadzi, ma w domu łazienkę, gazowy lub elektryczny piec kuchenny, radio i światło elektryczne. Bardzo wielu ma lodownię, odkurzacz elektryczny i dywany, a "*manager*" także nie ma służby. Przepaści nie ma, różnica jest jednak wielka. Rozdźwięk klasowy jest może nawet wyraźniej zarysowany niż u nas, ale jest on raczej wewnętrzny, niż zewnętrzny. Walka toczy się o zasady a nie o omastę, która tu jest tak i tak udziałem większości.

W fabryce ten wysoki standard objawia się rozmaicie. N.p. dwa razy dziennie rozwożona herbata i "*bunsy,*" które, tak czy owak, obciążają kieszeń robotnika, ale nie ma nikogo, kto by sobie tego odmówił, lub rękawiczki dla robotników zatrudnionych przy pracy, która niszczy ręce i tp.

3.

Wielu Anglików i wszyscy cudzoziemcy, którzy obserwują pracę w fabrykach broni i artykułów wojennych wygadują na "*muddle*" czyli bałagan. Jest to upraszczanie sobie bardzo zawiłego zagadnienia, bo przecież to "bałagan" angielski zorganizował ewakuację z Dunkierki i "*Battle of Britain*" owych "nielicznych, którym tak wielu zawdzięcza tak wiele". Nie można mówić też o "geniuszu improwizacji", bo jest to tak samo płytkie ujęcie, do tego pełne tej usłużnej bezmyślności, którą Anglicy nazywają "*wishfull thinking*". Nie należy również zapominać o tym, że Anglicy stworzyli Imperium i tym Imperium rządzą. Tego nie potrafi ani "bałagan," ani "geniusz improwizacji".

Wydaje mi się, że niewłaściwie ujmujemy tę sprawę, że patrzymy na Anglię oczami człowieka z kontynentu. Widzimy odmienność spraw i widzimy odmienność ludzi, ale jakoś trudno nam skojarzyć sobie to w następstwo przyczyn i skutków. Na domiar zaś naszej nieporadności przyszła wojna i ta odmienność spraw i ludzi załamała się znowu, jak w spektroskopie. Podmuch wojny, zwłaszcza zaś zeszłojesienny "blitz" wywołały tu tak daleko idące zmiany, że nawet Anglicy nie poznają samych siebie. Wszelkie określenia są więc, siłą rzeczy, nieścisłe. Możemy natomiast rejestrować fakty i fotografować epizody.

4.

Na szczycie hierarchii fabrycznej stoi *General-Manager*. Jest to rudawy Szkot o niebieskich, melancholijnych oczach. Wiek: około 45 lat. Codziennie o 8-ej rano odbywa półgodzinną, milczącą inspekcję fabryki. Przechadza się wolnym, śpiącym krokiem. Widzi tylko to, co mu "*formani*" chcą pokazać. Potem znika. Wygląda, jak gdyby nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. Przed wojną, gdy fabryka wyrabiała odkurzacze—organizował pewnie sprzedaż lub reklamę. Rozpatrywał nowe pomysły czy ulepszenia. Chwilowo jest trochę anachronizmem. Fabryka niczego nie sprzedaje. Odkurzaczy też nie produkuje. Reklamy nie ma. Jedynym odbiorcą jest armia, która daje zamówienia i przepisy, w których niczego zmieniać ani "ulepszać" nie wolno.

Zastępcą *General - Manager'a* jest *Works-Manager*, Mr. Jones.* Walijczyk, lat około 40. "*Supposed to be*" *spiritus movens* fabryki. Nie zawsze umie sobie jednak dać rady z nawałą problemów, jakie przyniosła wojna. Mr. Jones jest doskonałym fachowcem w fabrykacji odkurzaczy, niestety nie zna się na fabrykatach wojennych—musi się tego na gwałt uczyć. Nie jest inżynierem, jest natomiast siostrzeńcem głównego akcjonariusza fabryki.

Mr. Thomas jest *Labour-Manager'em*. Jego zadaniem jest organizacja pracy, rekrutowanie i przydział robotników do poszczególnych działów, rokowania z *Trade Unionami*. Jest to bardzo dzielny urzędnik, o jakim marzą wszyscy dyrektorzy całego świata. Pilny, sumienny, rzeczowy, przezorny. Przy obecnym braku sił roboczych dokonuje cudów. Fabryka ma pełno specjalistów—mechaników i rzemieślników — i spory "zapas" niekwalifikowanych robotników.

Nie jest jednak Mr. Thomas człowiekiem lekkomyślnym, który przepłaca pracowników. Przeciwnie. Płace w fabryce są niewygórowane, ale Mr. Thomas jest w bardzo zażyłych stosunkach z miejscową *Labour Exchange*, a nadto nie grzeszy nadmiarem skrupułów. Obiecuje nieraz więcej, niż zamierza dotrzymać, a potem już przepadło, bo, w myśl obowiązującej obecnie ustawy, zmiana posady jest tak utrudniona, że robotnik, który nie ma czasu za tym chodzić i któremu brak doświadczenia w takich sprawach, siłą faktu musi pozostać. Mr. Thomas zaś z dumą patrzeć może na swój "zapas" pracowników i stanowi przedmiot skrytej zawiści wszystkich okolicznych *Labour-Manager'ów*, którzy nie mogą wykonać kontraktów z powodu braku sił fachowych.

5.

Na czele każdego działu stoi *forman*. Odpowiada to, mniej więcej, naszemu inżynierowi z tą różnicą, że *forman* nie musi mieć (i przeważnie nie posiada) dyplomu uniwersyteckiego, lecz jest rekrutowany z pośród sprytniejszych czy bardziej protegowanych robotników.

W dziale pocisków *formanem* jest Mr. Libelt. "*British born,*" lecz wyraźnie kontynentalnego pochodzenia. Mówi z silnym, cudzoziemskim akcentem. Odbija się od wszystkich olbrzymim temperamentem i wyrazistą gwałtownością gestów. Ma lat 40, nieskazitelnie leżące ubranie (też jedna z jego nie-angielskich cech) i doskonale wypomadowane i zaczesane włosy. Jest bardzo przedsiębiorczy i rzutki. Posiada niewątpliwie duże zdolności organizacyjne.

Zastępcą jego jest *charge-hand* Reginald (Reg.). Jest to robotnik, były szofer ciężarówki. Jest jednak, jak wszyscy robotnicy, wybitnie "*mechanical minded,*" ma dużo zdrowego rozsądku i sprytu, jest dobrym "gospodarzem" i na jego barkach spoczywa właściwie kierownictwo działu pocisków. Prowadzi dział dobrze, choć bardzo często po dyletancku ale to już nie jego wina. Wszak mimo wszystko jest tylko niewykształconym i nieszkolonym robotnikiem.

6.

"Szara masa robotnicza . . ." Nie. Ani szara, ani masa. Są znacznie mniej tłumem, niż jakiekolwiek inne skupisko ludzi tego samego zawodu. O szarości też nie ma mowy. Jest to szereg ludzi o bardzo wyraźnym, jednostkowym obliczu, którzy przypadkowo—przeważnie z powodu urodzenia—mają tę wspólną właściwość, że na chleb zarabiają rękami. Z olbrzymiej galerii wyjmuję parę sylwetek.

"Jack"—jest *shop-steward'em* t.j. delegatem robotników należących do *Trade Unionów*. Jest to wysoki, zdrowy—choć mocno utykający—Szkot, były rolnik. Wiek 26 lat. Jest małomówny ale towarzyski. Gdy wyciąga papierosy częstuje wszystkich dookoła a przy dzisiejszym ich braku jest to oznaką naprawdę szerokiego gestu. Onegdaj dolatuje do niego Mr. Libelt:

—"Jack, proszę cię zrób wszystko, co możesz,—*do your utmost*—musimy wysłać dzisiaj jak najwięcej pocisków. Pamiętaj że jest wojna . . . Dlatego chcę uzyskać jak największą wydajność."

—"Ja też," odpowiedział Jack.

Libelt chciał mieć dużą wydajność, ponieważ w fabryce była tego dnia inspekcja wojskowa. Jack, z uporem chłopa, bez górnolotnych frazesów, toczy "*The Battle of Production.*" Nie mówi o tym nigdy ,ale przebiegle na swój sposób robi wszystko, aby naprawić błędy *formana* czy głupstwa robotników, aby broń Boże nie doszło do konfliktu, aby broń Boże nie było zwłoki.

Alec—*cockney*, podobno ex-kryminalista, najlepszy mechanik w fabryce, trochę lizus, trochę donosiciel. O niezwykłym temperamencie, wiecznie gadający i dowcipkujący. "*Alec—you are the biggest flirt in the shop,*" powiedziała mu Mary, sekretarka Mr. Thomas 'a. Fakt, że ma tyle wdzięku, najbardziej denerwuje u tego skończonego drania. Ostatnio pracowałem przez cztery niedziele. Dziś dochodzi do mnie Alec i mówi:

— "Nie bądź głupi. Nic z tego nie masz, że tyle pracujesz. Podatki tak i tak zeżrą ci wszystko. Jeśli zarabiasz ponad 7 funtów tygodniowo to za każdego funta odbierają ci 15 szylingów,—a więc taką niedzielę przepracowujesz za 5 szylingów. Nie warto."

W niedzielę wykonać można około 400-500 pocisków. Alec, jeśli pracuje w niedzielę, opuszcza jeden dzień w tygodniu, żeby nie płacić podatku. Dla sprawiedliwości muszę dodać, że Alec jest jedynym robotnikiem, który z rozmysłem opuszcza pracę.

Geoffrey — lat 20, wesoły, bardzo muzykalny i zawsze śpiewający. Bystry i inteligentny. Jest Żydem i zapalonym *Trade-Unionistą*. To, że jest Żydem nikogo nie grzeje ani ziębi. Kwestii żydowskiej tu nie ma — jak zresztą nie ma jej nigdzie w Anglii—co nie znaczy że nie ma antysemityzmu.

Harry — nigdy nie golony i często niedomyty Szkot, lat 30. Wygląda jak tuman, jednak przy bliższym poznaniu wychodzi na jaw niezwykłe oczytanie i duża rozpiętość zainteresowań. Jest przy tym dowcipny i wesoły. Aż do czasu ataku Niemiec na Rosję ironizował na temat "wojny imperialistycznej," obecnie obnosi najświeższe komunikaty z pola bitwy i jest nawet bardzo "owszem", co nie przeszkadza mu w miganiu się od cięższej pracy. Wprawdzie tu nikt się nie przemęcza, ale Harry celuje w markowaniu.

7.

Kobiety: Przeważnie dziewczęta między 18-tym a 23-cim rokiem życia. Poziom umysłowy bardzo niski—w przeciwieństwie do mężczyzn. Mam wrażenie, że to upowszechnienie tych wszystkich produktów cywilizacji przemysłowej, które dają namiastkę luksusu rozwydrzyło te dziewczęta, chowane w domu na "*housewife*" i do "*housework.*" Emancypacją jest dla nich kino, dancing, lakierowane paznokcie, wieczna ondulacja, i standardowe "*sweets'y*". Rozmowa toczy się na temat "*boy-friend*" i nowych ściegów do sweterka.

Trzeba jednak przyznać, że przy tokarniach są dobre, pilne i szybko się orientują. Zastępują mężczyzn prawie przy wszystkich robotach. Grymaszą wprawdzie jeszcze, n.p. obawiają się, iż jakaś praca może zeszpecić im cerę, zepsuć oczy lub /*horribile dictu*/ wieczną ondulację—święty "*perm*"; ale jest to tylko rzecz odpowiedniej perswazji, a wszystkie grymasy pójdą w kąt.

Najpoważniejszym argumentem będzie wyrównanie rozpiętości płac. Dziś kobieta zarabia przeciętnie 10 pensów na godzinę. Przeciętna mężczyzn jest 1/6. Wystarczy drobna podwyżka dla kwalifikowanych kobiet a zapomną o wszelkich grymasach. Sprawa ta była zresztą przedmiotem obrad ostatniego kongresu *Trade Unionów*.

8.

Zewnętrznej różnicy między robotnikami a urzędnikami nie ma. Na ulicy, w *pub'ie* czy w kinie nie zawsze można odróżnić robotnika od *gentlemana*. Poziom umysłowy też jest równy. Ta sama, trochę naiwna, niebłyskotliwa konwersacja toczy się w kantynie dla robotników i w kantynie dla urzędników. Lecz sam fakt, że są dwie kantyny dla ludzi o tym samym poziomie wychowania i inteligencji świadczy o tej ostro zakreślonej granicy, jaka dzieli /lub jak niektórzy chcą—jaką przedzielono/ klasę robotniczą od klasy gentlemanów.

Było by to przedsięwzięciem zbyt daleko idącym, gdybym w ramach tego reportażu usiłował skreślić wyraźny obraz tej walki, jaka się toczy. Poprzestaję więc na stwierdzeniu, że ta walka trwa dalej, mimo wojny i że toczy się ze zmiennym szczęściem pomiędzy dwoma świetnie zorganizowanymi obozami — *Trade Unionami* i Partią Konserwatywną. Trzeba również stwierdzić, że ma to wyraźnie ujemny wpływ na wydajność i produkcję.

System kapitalistyczny, w przeciwstawieniu do totalizmu lewego czy prawego, jest wyraźnym hamulcem przy produkcji wojennej. Zarząd—oś całej organizacji fabrycznej w ustroju kapitalistycznym—jest w naszej fabryce /ale tak samo w większości innych fabryk/ pozycją raczej ujemną w bilansie wydajności. Dyrektorzy, managerzy czy formani, wysunięci na swe stanowiska dzięki majątkowi, poparciu lub, w najlepszym razie, przez kwalifikacje istotne dla produkcji artykułów niewojennych, w znacznym stopniu nie dorastają do zadań. Usunąć lub przenieść ich do innej fabryki nie można, a więc marnotrawi się pracę sił kwalifikowanych, maszyny stoją bezczynne, organizacja szwankuje. Chęć zysku, czy troska o przyszłość każą znów wykorzystywać przywileje, nadane z myślą o wojnie a nie z myślą o zysku. N.p. osławione kontrakty, oparte na zasadzie "koszta+10%" kuszą do nadużyć, bo im droższa produkcja, tym większy zysk, a im wolniejsza, tym droższa. Ustawa, zabraniająca opuszczenia pracy, więzi bezczynnie olbrzymią ilość szkolonych sił robotniczych, bo właściciel fabryki czeka na obiecany kontrakt.

Z drugiej strony jednak *Trade Uniony* a nawet niezrzeszeni robotnicy wykazują wielką, często przesadną nieustępliwość wszędzie tam, gdzie w grę wchodzą ich prawa i przywileje, zasady czy kieszeń.

Anglików nie można porwać tanim argumentem "hurrapatriotyzmu." Trzeba ich przekonać. Ale argument wywołuje dyskusję, a dyskusja przeważnie nie przekonuje nikogo. Czasami gniewa nas to tak bardzo, że myślimy o tym, iż przecież u nas dyscyplina była większa i że umiano "brać za mordę" . . . I nagle, to "brać za mordę" przypomina nam cały napuszony, zakłamany obraz naszej sławojowej, ale jakże niesławnej przeszłości. Uświadamiamy sobie, że walka toczy się także o to, aby te rzeczy nigdy nie powróciły i zdajemy sobie sprawę, że mimo wszystko, tak, jak tu jest—jest przecież zdrowiej.

9.

Gdy mowa o robotnikach nie wolno pominąć kwestii komunizmu. Wszelkie wymijanie tej sprawy jest chowaniem głowy w piasek. Sympatie prorosyjskie klasy robotniczej są wynikiem ich zapatrywań, do komunizmu bardzo zbliżonych. Lord Beaverbrook genialnie to wyczuł, gdy rzucił hasło: "Tydzień tanków dla Rosji". Żadnym innym sloganem nie wznieciłby tego entuzjazmu i tego zapału, który produkcję tego tygodnia podniósł o 20%. To jest fakt, z którym trzeba się liczyć.

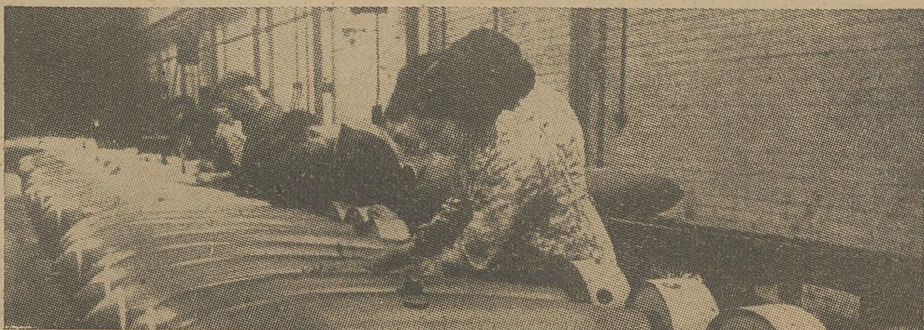
To prawda, że komuniści angielscy są przeważnie nie bardzo ortodoksyjni, to prawda, że nie skupiają się bynajmniej głównie w partii komunistycznej, to prawda wreszcie, że byli dość krytyczni zarówno wobec polityki Stalina, jak i wobec polityki Harry Pollita—. To prawda, że niezawsze zdają sobie sprawę z istoty rosyjskiego eksperymentu, jeśli dziekan katedry św. Pawła dr. Matthews występuje na łamach "*Sunday Despatch*" z artykułem, w którym stwierdza podobieństwo założeń chrześcijaństwa i komunizmu.

10.

Polska ma dobrą opinię w mojej fabryce. Co prawda, to głównie dzięki dziewczętom, które szaleją za polskimi lotnikami, stacjonowanymi w okolicy; ale i mężczyźni są pełni entuzjazmu zwłaszcza dla naszych "*fighter'ów,*" których sukcesy mi codziennie raportują. Wiele współczucia i serca okazują dla losu naszych rodaków pod okupacją niemiecką. Broszury p.t. "*Underground Poland Speaks*", nadesłane mi przez Związek Inżynierów i Techników Polskich w Wielkiej Brytanii rozdałem i wywołały takie zainteresowanie, że musiałem prosić o dalsze egzemplarze.

To zainteresowanie Polską ma niestety jednak charakter wyłącznie towarzyski lub humanitarny a nie polityczny. A taki stan nie ogranicza się do terenu fabryki w której pracuję, lecz można go uogólnić. Aby zainteresować dzisiaj Anglików Polską nie wystarczają apele do współczucia. Anglia oczekuje, że z piekła tej wojny zrodzi się nowy świat. Ku temu nowemu światu biegną dziś wszystkie myśli i dlatego propaganda nasza powinna sięgać raczej w przyszłość, niż w przeszłość. To, czym Polska była—interesuje dzisiaj niewielu. Zainteresować ich może to, czym Polska ma zamiar być. Na to nasza i czeska propaganda *wspólnie* powinny położyć nacisk.

Dominik Szczerbic



* Wszystkie imiona, nazwiska, nazwy przedmiotów i broni wyrabianych i t.p. są ze zrozumiałych względów zmyślone.

Listy z Cherbourga

Właściwie nie z Cherbourga, tylko z nad Cherbourga. I nie listy, tylko radiogramy. Co prawda na samych radiogramach poprzestać nie można. Cała historia wyglądała by wtedy tak:

"Hallo, Puma leader, Puma leader, Puma blue one calling, Messerschmidty z prawej! Over!"

"Okay, blue one, okay!"

Chwila ciszy, a potem:

"Hallo, Puma leader, dwa Messerschmidty z tyłu!"

"Okay!"

I na tym koniec. A tymczasem to przecież dopiero początek. Ale było by zbytnią uprzejmością wobec korespondenta prasowego, siedzącego w operation's room ze słuchawkami na uszach, nadawać komunikaty: "Teraz wsiadam mu na ogon," "Teraz zaczynam serię," "O, dymi mu się, dymi" "Wyskoczył łobuz, dobrze mu tak!"

Podobno nocni myśliwcy tak robią, wyliczając nawet podczas serii, kogo aktualnie mszczą. Ale my cenimy ciszę w powietrzu. Również szkoda było by zajmować lewą rękę trzymaniem przełącznika radiowego przy nadawaniu takich, wzruszających skądinąd komunikatów. Więc niech korespondent prasowy pojedzie lepiej na lotnisko i tam czeka na nasz powrót.

Otóż nadlatują. Cztery trójki, wszyscy, Bogu dzięki, w pięknym, zwartym szyku, skrzydło w skrzydło,—nie, niech pan nie sądzi, że to nasz szyk bojowy, to tylko fason na powitanie lotniska. O, już rozchodzą się do lądowania, lądują trójka za trójką. . . .

—Oho, mieli spotkanie, widzi pan, wódz ma odstrzelone plastry u wylotów karabinów, tak samo lewy w drugiej trójce. Czy można strzelać w chmurę, kiedy nikt nie widzi?—Owszem, można, ale nie wypada, zwłaszcza, jeśli działa aparat filmowy, sprzężony ze spustem karabinów.

Otóż i ostatnia trójka dokołowuje, chodźmy do nich. —Nie, napewno to nie jest łup wojenny z tej wyprawy. To po prostu nowy typ kamizelki ze sprężonym powietrzem w metalowej buteleczce. Nie zawsze po wyskoczeniu ma się chęć dmuchać.

Ale posłuchajmy, co mówią. Wszyscy są bardzo podnieceni, jak zwykle po wyprawie. Lepiej —po, niż—przed.

. . . .

—A guzik mogłem zobaczyć przed sobą!—słyszę: "Messerschmidty z tyłu." Z czyjego tyłu? — Napewno każdy się wtedy obejrzał na swój ogon. A one właśnie wtedy mi przeszły przed nosem. Ale patrzę, poszły pod naszą pierwszą czwórkę, a Stefan już pruje za jednym z nich, widzę—dymi, no to dobra.

—Kto dymi,—Stefan?

—Ty się Władek nie odzywaj, bo jakeś jest prezes klubu pesymistów, toś powinien się smucić, żeśmy jednego drania zestrzelili.

—Właśnie się smucę, że drugi drań przeszedł ci przed nosem, a tyś przez ten czas swój ogon oglądał.

—Panowie, a kto widział, czy ten z Messerschmidta skakał?

—Nie skakał, tam skakał jeden z naszego Whirlwinda, musiał dostać od artylerii, bo zawrócił nagle sam, ale widać zapalił się.

—Cholernie artyleria grzała. Taką kurtynę zrobili, akurat na wysokości naszej czwórki, ja tylko—umyk w prawo, umyk w lewo, a raz to mnie solidnie podrzuciło!

—Ciebie, zdaje się, podrzuciło po tych dwóch obiadach, coś je ledwo zdążył skończyć przed startem.

—Bodaj cię tak podrzucało po każdym obiedzie.

—Panowie, widzieliście, jak rąbały Blenheimy?—myśmy z wysokości już ich nie mogli dojrzeć.

—Bardzo ładnie. Wszystkie serie poszły po dokach i zabudowaniach portowych. Oni mają cholerną flegmę, te bombaje: przedefilowali raz, drugi raz, odmierzyli, obliczyli i dopiero puścili.

—Ale port nielicho już ospowaty. A w mieście ruch, ludzie stali i gapili się na nas. Nawet widziałem jedną Francuzkę, jak machała ręką.

—A widziałeś, że miała wargi umalowane w kształcie litery V?

—Ale, ale,—zauważyliście, w tamtą stronę, jak oślepiająco błyszczy ta wysepka,—Guernsey, —jakby tam tysiące reflektorów świeciło,—co to mogło być?

—Tam są całe pola inspektów, a myśmy lecieli akurat w refleksach od słońca, żebyś nie był ciemny, tobyś wiedział, że kąt padania jest równy kątowi odbicia.

—Ty zdaje się równo padniesz pod kątem mojego odbicia.

—Uwaga, idzie nasz "Inteligentny." Stefan, szykuj się zeznawać, czy ten Messerschmidt był pomalowany od wewnątrz i czy miał znak fabryczny pod ogonem.

—To chodźmy najpierw na herbatę, trzeba nabrać sił do tego wywiadu.

. . . .

Widzę, że zanotował pan dosłownie tę rozmowę. Aha, tylko "silne" zwroty opuszczone. Tak, pan wie, że grubych słów żołnierze używają nałogowo. Albo młodzi ludzie, pozujący na żołnierzy. A my jesteśmy przecież i żołnierzami i napewno młodymi ludźmi.

Wie pan, to chyba najlepiej tak notować nasze przeżycia. Bez literackich ornamentów. Bez patriotycznego sosu. Przekonał się pan, słuchając nas, jakie to jest proste i dalekie od patosu. Proszę pana, gdybym się przed lotem do Cherbourga ubierał moralnie w kostium skrzydlatego bohatera, to z wrażenia nie doleciałbym do połowy Kanału. Gdybym po drodze rozmyślał, ile to Messerschmidtów czeka na nas po tamtej stronie, a i od artylerii dostać można, i silnik sam może nawalić—to nie starczyło by mi czasu na rozglądanie się za Messerschmidtami, unikanie artylerii, należytą obsługę silnika. I gdybym, mając cel na celowniku, przypominał sobie, "za kogo" to teraz będę strzelał, to pewnie zapomniał bym odbezpieczyć guzik spustowy.

My nawet na pogrzebie kolegi potrafimy być najwyżej—smutni, ale nie uroczyści i nadęci. Niech pan nie wierzy komediantom, którzy nas ośmieszają, karykaturując nasze przeżycia, w dobrej wierze, że dodają nam uroku. My sami śmiejemy się z tych naszych karykatur i odgrywamy te role w kasynie, po lataniu.

Przypomina mi się w tej chwili pewien epizod z jednego z poprzednich *sweepów*: byliśmy już w drodze powrotnej, kilka mil od Cherbourga, lecąc "żmijką," kiedy nagle, z tyłu, powyżej nas, ukazały się dwa Messerschmidty. Zawróciliśmy na pełnym gazie, podciągając w skręcie, ale tamte, mimo przewagi wysokości i szybkości /mogły łatwo wpaść między nas, po drodze postrzelić którego i zwiać/ wykorzystały tę przewagę na szybki i zdecydowany odwrót. Wtedy i my zawróciliśmy w swoją stronę.

Otóż odbyła się tam krótka rozmowa radiowa między nami: pierwszy komunikat—o zbliżaniu się Messerschmidtów, drugi—decyzja dowódcy po ich ucieczce, żeby wracać w swoją stronę. W "artystycznym" opracowaniu niektórzy chcieli by to słyszeć zapewne tak:

Komunikat pierwszy: "Towarzysze skrzydlaci!—godzina krwi i chwały nadchodzi! Dwaj odwieczni wrogowie zbliżają się, aby znaleźć pewną zgubę pod gradem naszych śmiercionośnych pocisków."

Komunikat drugi: "Wróg w sromotnej ucieczce pozostawił nas panami przestworzy. Lećmy do domu, szumiąc pieśń zwycięstwa!"

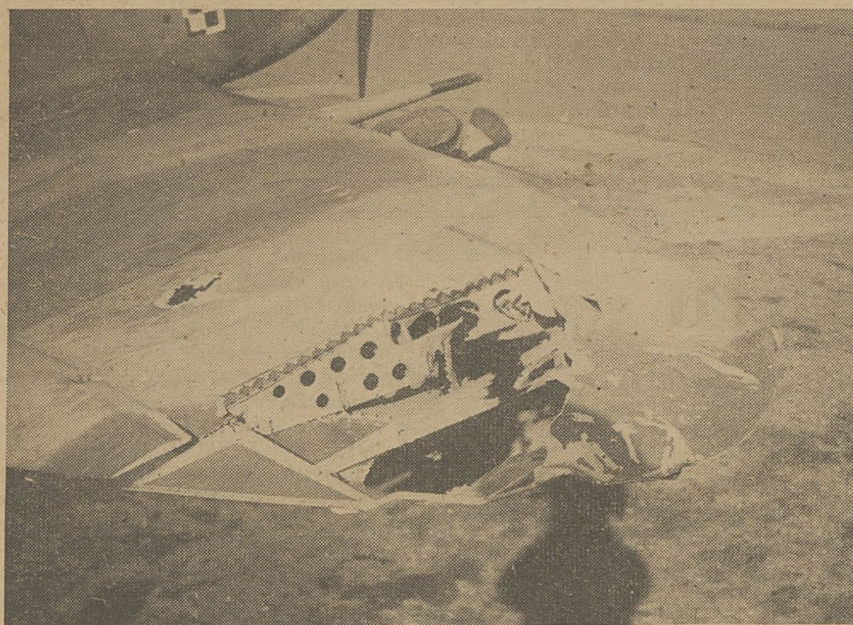
Tyczasem, proszę pana, zapowiedź brzmiała: "Są skurczybyki, dwa, za nami." A kiedy uciekły, Wacek tak wyraził decyzję co do dalszego działania: "Pies im mordę lizał, *listening out*!"

Widzi pan, mnie się ciągle zdaje, że wzniosłość, bohaterstwo, "legenda," "zasługa," "czyn" —polegają nie na tym, *co* kto robi, tylko, *jak* robi to, co do niego należy. Już dawno nieboszczyk Masaryk powiedział, że dobry robotnik tyle samo wart, co dobry prezydent.

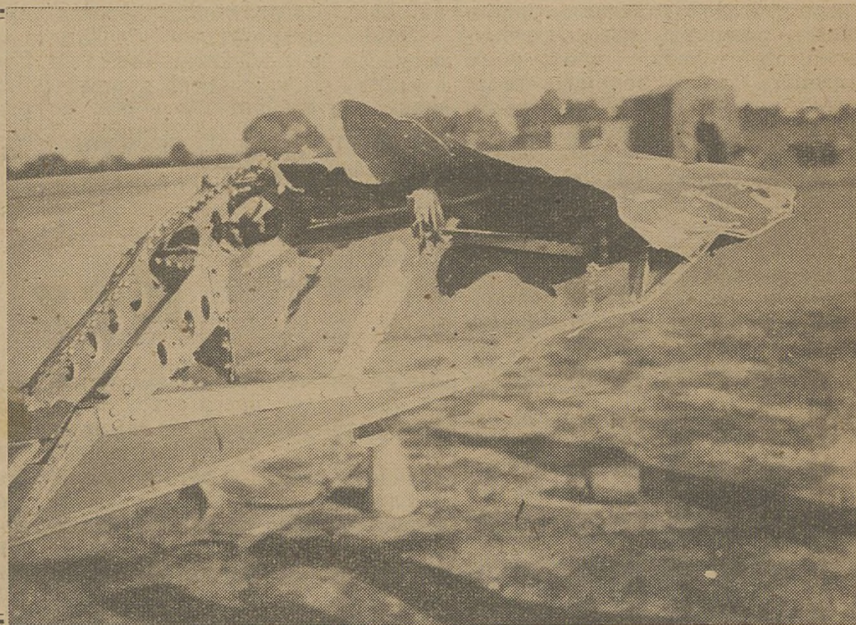
A że mnie Opatrzność dała takie przyjemne, nie brudzące, piękne zajęcie, toż to mój dług jest i powinność, żeby tę nadpłatę należycie dopracować.

Boże drogi! ja tu panu głowę zawracam, a tam herbata stygnie. Co gorsza, koledzy dżem nam zjedzą. Nawet widzę, że wódz sobie nałożył podwójną porcję. Pewnie za zestrzelonego Messerschmidta.

Gustaw Nierad



Zdjęcia przedstawiają samolot jednego z naszych myśliwców (na lewo widoczna polska szachownica) po powrocie z bitwy lotniczej nad Francją. Samolot polski dostał się w niej w silny ogień artylerii przeciwlotniczej, został trafiony, przy czym pocisk rozszarpał brzegi skrzydła. Dzięki umiejętności pilota i dobroci sprzętu, samolot szczęśliwie powrócił do Anglii. Gdy mu się rana zagoi—poleci znowu nad terytorium okupowane przez wroga.



Dziękuję ci polski żołnierzu

Stałem się sławny.

A niczym specjalnie się nie wyróżniłem. Od czterech miesięcy leżę w szpitalu—dużo śpię, jadam dobrze i cztery razy dziennie, często spaceruję po parku szpitalnym, pisuję, czytuję książki i gazety, uczę się angielskiego i słucham radia. Gdyby więc nie usprawiedliwiała mnie moja choroba, która trzyma mnie przymusowo w szpitalu, można by mój tryb życia nazwać życiem nieroba.

A mimo to stałem się sławny! Co prawda na razie tylko na terenie mego, ogromnego zresztą, szpitala. Ale faktem jest, że stałem się w nim jednym z najpopularniejszych pacjentów.

Cieszy mnie ta sława. Upajam się nią. I często przypominam sobie, jak to do tego doszło. . . .

Gdy przyjęto mnie do szpitala, dano mi numer. Zostałem pacjentem nr. 12 z bloku F. Tak mnie odtąd nazywano, bo nazwisko, zbyt trudne do wymowy, nie trzymało się jakoś pamięci moich angielskich współtowarzyszy choroby. Już drugiego dnia, gdy pokazałem się na terenie szpitala, wskazywano mnie palcami.

"Patrz, to nr. 12—Polak."

Obstąpiono mnie kołem. Spytano mnie, czy znam sławną historię ucieczki "Orła." Domagano się szczegółów. Naturalnie opowiedziałem wszystko, co na ten temat wiedziałem i stwierdziłem przy tym, że moi Anglicy znali dzieje polskiego okrętu podwodnego niegorzej ode mnie. I zrozumiałem wtedy po raz pierwszy, że dzięki O.R.P. "Orzeł" akcje moje na terenie szpitala stoją mocno.

Potem nadszedł długi okres nalotów na Londyn i . . . długi okres wspaniałych wyczynów lotników polskich. I odtąd codziennie niemal "w imieniu" naszych lotników przyjmowałem gratulacje.

Przychodzili lekarze, siostry, pielęgniarki, pacjenci. Codziennie "raportowali" mi, że piloci polscy strącili tyle a tyle maszyn niemieckich, że zrobili to a to. . . . A jeden z pacjentów nawet po opuszczeniu szpitala napisał mi: "Keep your chin up—the Polish airmen are still doing very well. Up the Poles" (*Trzymaj głowę—a raczej podbródek do góry; polscy lotnicy ciągle sprawują się bardzo dobrze. Górą Polacy!*)

Stawałem się co raz popularniejszy. Im więcej maszyn nieprzyjacielskich spadało dzięki brawurze polskich lotników, tym bardziej rosła moja sława. Doprowadzało to nawet do małych "komplikacyj." Lekarze interesowali się mną bodaj najwięcej, siostry, zwłaszcza co przystojniejsze, odwiedzały mnie najczęściej, a pielęgniarki przynosiły mi najlepsze . . . porcje puddingu.

Kiedyś dr. Junosza, zaraz po swoim przybyciu z Polski, wygłosił przed mikrofonem rozgłośni londyńskiej w języku angielskim dwie pogadanki na temat obecnej sytuacji w naszym kraju. Słuchałem tych pogadanek wspólnie z mymi angielskimi towarzyszami.

Wspaniała postawa Polaków, nie uginających się przed najeźdźcą mimo najpotworniejszych prześladowań — zaimponowała nawet tym "zimnym" wyspiarzom. I znów akcje moje poszły w górę.

Im dzielniej bronią się Polacy w kraju, im lepiej nasi lotnicy, marynarze i żołnierze biją Niemców, tym bardziej rośnie moja sława—sława Polaka.

Zawsze byłem dumny z tego, że jestem Polakiem. Teraz jednak tak mi się wydaje, iż mimo wszystko nie doceniałem ogromu tego zaszczytu. Dlatego dziękuję Wam Polacy z Kraju, dziękuję Ci polski lotniku, polski marynarzu, polski żołnierzu—bo Wyście mnie najlepiej utwierdzili w przekonaniu, że być Polakiem, to wielka rzecz.

* * *

Jestem sławny. Ale pozostać nim nie łatwo. Wszyscy, interesując się mną, obserwują każdy mój krok, każde moje postępowanie, każde moje słowo. Muszę się stale pilnować, muszę na siebie niesłychanie uważać, by nie "podpaść." Grozi to bowiem utratą sławy.

Muszę się przyznać, iż razu pewnego "podpadłem" . . . Złamałem przepis szpitalny. Pewnej kategorii chorych, a między nimi i mnie, nie wolno grać w bilard. Ja jednak zagrałem. Złamałem przepis porządkowy szpitala.

Jeden z przyjaciół, Anglików, palnął mi na ten temat całe kazanie:

—"Panu nie wolno, nie wypada. Nie można nie przestrzegać rozporządzeń lekarzy. Poza tym, to szkodzi pańskiemu zdrowiu. Niech pan pamięta, że lepszy jeden Polak żywy, niż stu zmarłych, a pan jeszcze jest Polsce potrzebny . . ."

Ze wstydem słuchałem tych słusznych uwag. I odtąd nie złamię już przepisów szpitalnych. Staram się dokształcać swój charakter, aby się stać godnym czynów wszystkich Polaków w Kraju, czynów polskich lotników, polskich marynarzy i polskich żołnierzy, aby być godnym imienia Polaka, które mnie teraz opromienia taką sławą.

Stefan Rawicz

Rozmaitości lotnicze

W miarę rozwoju działań wojennych staje się co raz bardzie jasne, że Douhet miał słuszność i lotnictwo zadecyduje o wyniku wojny. Lotnictwo nie odebrało wprawdzie piechocie i prawdopodobnie nie odbierze nigdy przywileju zajmowania terenu /chyba, że każdy piechur dostałby własne skrzydła/, nie odbierze też siły przebojowej jednostkom pancernym. Stało się jednak czymś, co można by nazwać "bronią generalną," bronią, bez której żadna z innych działać nie może. Z drugiej zaś strony jest bronią, która może działać samodzielnie, niezależnie od innych.

W ostatnich dwóch tygodniach jesteśmy świadkami osłabienia siły lotnictwa niszczącej, oślepiającej i hamującej na froncie wschodnim, zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie. Co raz częściej dochodzą do głosu masy piechoty, użyte podobnie jak w 1914. Nie świadczy to bynajmniej o zmniejszaniu się roli lotnictwa w wojnie nowoczesnej. Objaw ten przypisać musimy rozmaitym czynnikom: niektóre omówimy później, teraz przypiszemy to przede wszystkim przestrzeni, następnie ogromnym stratom, jakie obie strony w lotnictwie poniosły. Mówiąc o przestrzeni mamy na myśli fakt, że wobec rozległości frontów i olbrzymich rozmiarów poszczególnych a jednoczesnych akcji, wszelkie działania w skupieniach podobnych, jakie miały miejsce czy to w Polsce, czy w Holandii, Belgii, Francji, albo ostatnio w bitwie o Wielką Brytanię, nie są do przeprowadzenia nawet przy najbardziej licznym lotnictwie.

Jednak w dalszym ciągu i równie silnie, a kto wie, prawdopodobnie w nierównie większej mierze dojdzie do głosu lotnictwo podczas pierwszych działań na kontynencie europejskim. Tam będzie miało znów rozstrzygające znaczenie opanowanie powietrza przez myśliwstwo, tam będzie znów grać ogromną rolę bombardowanie pozafrontowych celi, tam—i to przede wszystkim—zaznaczy się działanie lotnictwa pola walki. W czasie tych walk rozstrzygnięcie będzie zależne nie tylko od ilości, lecz także od jakości lotnictwa.

Na "jakość" trzeba spojrzeć z nieco innego punktu widzenia, jak tylko od strony zalet ściśle lotniczych sprzętu bojowego, a więc szybkości, zwrotności, udźwigu czy nawet—uzbrojenia. Niektóre z nowych typów smażą się jeszcze w najgłębszych czeluściach biur konstrukcyjnych po fabrykach i kryją ogromne niespodzianki. Przedstawiają się one obecnie jako stosy papieru rysunkowego, pokrytego rozmaitego rodzaju kolorowymi liniami. One jednak rozstrzygną o tym co jest lepsze. Jesteśmy w tej chwili świadkami ścierania się dwóch poglądów. Jeden: angielsko-amerykański: jak najwięcej uzbrojenia, jeśli o typy myśliwskie chodzi, jeżeli zaś o bombowce: jak największe rozmiary maszyny. To bowiem, poza ekonomiką samolotu, wpływa także na jego odporność wobec pocisków. Dążność niemiecka idzie po linii maximum pancerza, choćby kosztem uzbrojenia.

Przyszła rozgrywka powietrzna będzie zależna jeszcze od innych spraw. W dużej, a kto wie czy nie rozstrzygającej mierze zależeć będzie od zaopatrzenia. I tu możemy wysnuć niezmiernie ciekawe wskazówki z pewnych faktów. Nie będzie ona /o ile rozgrywka przyjdzie szybko/ sprawą większych czy mniejszych zapasów benzynowych. Raczej rzecz się będzie kręciła dokoła smarów i ich jakości. Dobry smar daje gwarancję lepszego funkcjonowania motorów przy nieekonomicznym używaniu ich w walce, a stosunkowo pobieżnej opiece na ziemi. To wpływa nie tylko na wydajność motorów, a więc szybkość i nośność, lecz także na rzecz niezmiernie ważną: na stopień gotowości eskadr do działań. Lepszy smar—mniej maszyn na defekcie, oto prawda nieodparta.

Ilość dyspozytywu eskadr decyduje po większej części o stosunku sił walczących w powietrzu. Przypomnijmy sobie, że pod koniec walk we Francji, a potem i w pewnej fazie walk o Wielką Brytanię w roku zeszłym, ilość zdolnych do boju maszyn po stronie niemieckiej była po prostu katastrofalna. Ta sprawa n.p. zadecydowała o udaniu się Dunkierki i — o ewakuacji Polaków z Francji. W ten sposób wyrównywały się minusy liczebne R.A.F., który, jak wiadomo rozporządza pierwszorzędnymi smarami. Jeżeli chodzi o ilość maszyn na defekcie na skutek normalnego zużycia, to dyspozytyw ów w R.A.F. był bardzo zadawalający i prawie równy pokojowemu. Otóż tu możemy stwierdzić jeden fakt niezaprzeczalny: Niemcy mogą mieć benzynę, ale smarów nie mają; smarów dobrych dostać nie mogą. W owym czasie, rok temu, fachowcom włosy na głowie stawały dębem, gdy badali zawartość karterów silników niemieckich. Od tego czasu niewiele się mogło poprawić.

Tutaj doszliśmy od zagadnienia "jakości" sprzętu do zagadnienia "ilości," czyli stanu pierwszej linii. Zaznaczę przy tej sposobności nawiasem, że dla wielu laików tajemnicze słowo "pierwsza linia" oznacza jedynie samoloty "pierwsza klasa" prosto z fabryki—, do drugiej więc prawdopodobnie zaliczają nieco starsze, do trzeciej graty i.t.p. Ma to jednak nieco inne znaczenie w języku fachowym. Samoloty pierwszej linii—to wszelkie samoloty bojowe: myśliwce, bombardujące, takie czy owakie, rozpoznawcze i.t.p. Do drugiej zalicza się rezerwy, dalej samoloty zaopatrywania, transportu lub ewakuacji i szkolne.

Otóż liczebność owej pierwszej linii, czyli siła bojowa lotnictwa nie jest zależna od tego, ile fabryki wyprodukują. Nie tworzy się w nieskończoność nowych dywizjonów w miarę napływania samolotów. Dwa tysiące produkcji miesięcznej nie oznacza bynajmniej dwa tysiące nowiuteńkich samolotów włączonych do pierwszej linii. Siła lotnictwa polega na czym innym. Niemcy n.p. nie powiększali liczebności swych dywizjonów przez przeciąg około dwóch lat. Ich stan pierwszej linii był doskonale dostosowany do zdolności wytwórczych zaplecza. Zdolność wytwórcza powinna zapewnić uzupełnienie zużycia normalnego (przelatanie godzin przewidzianych dla motorów i płatowców, dalej ubytek z powodu nieuniknionych wypadków lotniczych) a nadto na uzupełnienie strat bojowych.

Powinno to być wybalansowane w ten sposób, by ilość rezerw sprzętu była niezmiennie jedna i ta sama, a więc co najmniej 300%. Ideałem jest, by na każdą maszynę pierwszej linii, było nie trzy, ale sześć gotowych i uzbrojonych maszyn na rozmaitych szczeblach uzupełnienia. Tylko takie postawienie sprawy gwarantuje ciągłość wysiłku przy najwyższym napięciu akcji. Jedną z najciekawszych bowiem zasad obecnej wojny mechanicznej jest walka na przetrzymanie. To, co Goering powiedział: "wygra ta strona, której ostatni czołg zostanie nienaruszony," odnosi się także do lotnictwa.

Przy obliczaniu potrzeb uzupełnienia trzeba brać pod uwagę tysiące rozmaitych rzeczy i możliwości. Jednym z najciekawszych obliczeń to obliczenie czasu "trwania" sprzętu, czyli czas, w jakim przeciętnie samolot zdolny jest do boju, nim zostanie zniszczony przez przeciwnika.

Tu nasuwa się interesujące spostrzeżenie. Otóż jeżeli mówi się o stratach, to praktyka pokazuje, że straty poniesione w boju bynajmniej nie równają się stratom maszyn zestrzelonych w powietrzu. Są znacznie większe. Wiele maszyn wraca na lotnisko w stanie godnym pożałowania. Te dzielą się na dwie kategorie: takich, które są do tego stopnia postrzelane, że muszą iść na szmelc, oraz takich, które po remoncie znowu wracają do linii. Jeżeli chodzi o Niemcy to stosunek zestrzelonych do uszkodzonych mniej lub więcej był w przybliżeniu 1:2:3, a więc jedna maszyna zestrzelona, to dwie na rozbiórkę a trzy na remont. Stosunek ten w R.A.F. jest o wiele korzystniejszy, a przypisać to należy znacznie lepszej i wytrzymalszej konstrukcji maszyn brytyjskich.

Uważni czytelnicy komunikatów zarówno niemieckich, jak i rosyjskich zauważyć mogli, że w ostatnim czasie zmniejszyła się nieproporcjonalnie do pierwszych okresów walk liczba samolotów, podawana przez Niemców jako stracone, zaś przez Rosjan —jako zestrzelone. Odrzućmy sprawę wiarygodności komunikatów, każda przesada bywa jednak proporcjonalna do prawdy. Wiemy, że Niemcy powiększyli ostatnio liczbę swych jednostek lotniczych pierwszej linii, a więc tym samym nasycili bardziej front lotniczy. Jakież mogą więc być przyczyny zmniejszenia strat?

Można wysnuć stąd rozmaite wnioski:

Albo zły stan pogód nie pozwala na użycie masowe lotnictwa. Zła pogoda jednak wiecznie nie trwa. Albo stan rosyjskiej obrony przeciwlotniczej osłabł. Jednak w tym wypadku nastąpiłoby intensywniejsze bombardowanie. A tu ani Niemcy czymś podobnym się nie chwalą, ani Rosjanie się nie skarżą.

Jeżeli więc odrzucimy sprawę pogody, jeżeli odrzucimy także osłabienie obrony przeciwlotniczej, a mimo wszystko front i tyły nie odczuwają większego nasilenia działań lotniczych, pozostaje tylko jedno: dyspozytyw eskadr niemieckich musi być bardzo mały.

Odnośnie zaś zwiększenia liczby jednostek niemieckich: biorąc pod uwagę poprzednie rozważania, stwierdzić możemy, że nic takiego się nie stało, co by mogło nasuwać myśl, że niemiecka produkcja lotnicza skoczyła ogromnie w górę. Wręcz przeciwnie, z rozmaitych wypowiedzeń wodzów Trzeciej Rzeszy wnioskować należy—że spadła. Wiemy też, że wykorzystanie produkcji krajów okupowanych, bynajmniej nie wpłynęło na decydujące zwiększenie produkcji niemieckiej. Tedy powiększenie liczby jednostek musiało nastąpić kosztem posiadanych rezerw.

Te wszystkie fakty dają dużo do myślenia.

Adam Sterbałła

Bez black-outu

Chcesz poznać zasadniczą różnicę pomiędzy Szkotem a Polakiem—wydaj przepis. Jakikolwiek przepis, zarządzenie w błahej sprawie. Szkot będzie myślał, jak przepis wykonać najdokładniej i najwierniej; Polak będzie się głowił nad tym, jak przepis obejść najprościej i najprędzej.

Doprowadzona do niespotykanej doskonałości solidność szkocka, o której tyle razy pisało się na tym miejscu—jest głównym źródłem wszelkich rozczarowań w przyjaźni szkocko-polskiej. Ile zgorszenia wywołał w kilku wypadkach taki na pozór drobiazg: torba maski gazowej żołnierza polskiego, wypełniona bielizną i papierami, czasem przyborami toaletowymi i fajką—tylko nie maską. Nasze chłopaki traktowały to jako pyszny kawał i demonstrowały Szkotom z uśmiechem tajemniczą zawartość maski gazowej. Szkoci zaś, którym w radio mr. Morrison powiedział, że maski trzeba nosić i że rząd prosi (!!!) o to obywateli brytyjskich, nie rozumieli naszego polskiego kawału, a co gorsza traktowali to, jako przekroczenie przepisów.

Dziwny naród. Nie rozumie np. dlaczego Polacy rozjeżdżają spokojnych ludzi na szosach i uliczkach ich miast, skoro tego nikt tu nie czynił od lat w tak rekordowym tempie, dlaczego kaleczą siebie, dlaczego zabijają się na drzewach i murach w kawalerskiej jeździe, skoro maksymalna szybkość jest dawno ustalona? Więc obywatel tego kraju, szanujący przepis nade wszystko, dziwi się po raz drugi.

Przyjął się taki zwyczaj w Szkocji, taki nieuregulowany przez nikogo przepis, że własny rower można zostawić na ulicy, oparty o krawężnik, lub na szosie pod drzewem. Rower może przestać godziny, tygodnie, nawet miesiące i nikt go nie tknie. Niestety, niestety—zdarzyło się raz jeden, że ta rowerowa tradycja szkocka, została boleśnie pogwałcona. Po prostu . . . tknęli, wzięli i pojechali. . . Szkot czekał godzinę, dwie, tydzień "pewnie ktoś potrzebował, pożyczył sobie i zwróci, o key." Ale po miesiącu zaczął się dziwić po raz trzeci, obecnie zaś nowy rower zabiera ze sobą do mieszkania. Teraz czas wojenny—powiada—może "paraszutysta" znowu zabrać. Wytłumaczył sobie wszystko wojną, lecz rower chowa do komórki we własnej Szkocji. Dziwny naród, nie zna się na kawałach.

Mr. Woolton, minister wyżywienia, wydaje przez radio nieubłagane nakazy dla Brytyjczyków, reguluje przepisy "rations" i kuponów, łagodnie, z uśmiechem w głosie, a zawsze w formie "prośby rządu," któremu trzeba pomóc w czasie wojny. W dniu 3 listopada tego roku mr. Woolton powiedział, że sardynki i konserwy wszelkiego rodzaju będą racjonowane od 17 *listopada. Do tego dnia wolna sprzedaż tych artykułów zostaje wstrzymana ze względu na dobro ogółu, żeby ten, który ma więcej pieniędzy, nie mógł nabyć więcej towaru, niż biedak, który nie ma tyle gotówki na kupienie zapasów przed ich racjonowaniem. Dziwny naród. Nazajutrz okna wystawowe wszystkich sklepów pękały od bogactwa konserw, sardynek, śledzików i marynat. Na szybie wystawowej widniał napis: "Nie do sprzedania aż do dnia* 17 *listopada."*

Wstąpiłem do takiego sklepu pytając ot tak dla próby, z głupia frant o pudełko sardynek. Kupiec spojrzał na mnie łagodnie, jakby chciał powiedzieć: "oczywiście cudzoziemiec jeszcze nie zna przepisu, trzeba być pobłażliwym. . .", poczem wobec zachwyconego audytorium pań z torbami i koszykami wygłosił dla mnie odczyt popularny o systemie mr. Wooltona, który opiera swoje "prośby" na idei społecznego, sprawiedliwego rozdziału żywności. Okno pękało od konserw i sardynek, damy zaś kupowały biszkopty, rumbarbarum i ocet, jakby w ogóle wystawy nie widziały.

Zamyśliłem się nad pytaniem, jakby to wyglądało . . . tak "po naszemu":

Minister X. wydaje nakaz /nie prosi, ale nakazuje/, że pod karą sześciu miesięcy aresztu lub 500 *złotych grzywny nie wolno od* 3-17 *pewnego miesiąca sprzedawać sardynek. Nazajutrz w sklepach kolonialnych — szał. Spocony właściciel ogania się, przepędza klientów, ale nadaremnie. Padają zaklęcia nie do odparcia.*

—"Panie Korzonkiewicz, tyle lat u pana biorę, pierwsza pana klientka, mnie pan nie da?"—szepce wywracając oczami sąsiadka sklepikarza. I pan Korzonkiewicz wyciąga spod lady puszkę sardynek, zawija ją w jakieś opakowanie z paczki makaronu, mówi mrugając lewym okiem do klientki, głośno na cały sklep: "Oto zamówiona paczuszka makaronu dla pani dobrodziejki."

Potem do sklepu pana Korzonkiewicza wchodzą kolejno ludzie, którym odmówić sardynek niepodobna; więc: pani naczelnikowa dzielnicowego urzędu skarbowego, któremu podlega pan Korzonkiewicz, pani komisarzowa policji komisariatu, któremu podlega sklep pana Korzonkiewicza, pani prezesowa izby przemysłowo-handlowej, pani dyrektorowa urzędu celnego—w końcu sam, we własnej osobie, pan egzekutor podatkowy, który nawet nic nie mówi, tylko milcząco staje przy ladzie i wyciąga rękę. . . .

Pan Korzonkiewicz dwoi się i troi, zgina w ukłonach, znika pod ladą, wyciąga sardynki za sardynkami, zmienia opakowania, uśmiecha się obleśnie, lewe oko biega mu już samo z mrugania. Pod wieczór, do tego sklepu wchodzi dyskretnie robotnik prosto z pracy, zmęczony i blady, ręce w smarach.

—"Dobry wieczór panie Korzonkiewicz, daj pan jedno pudełko sardynek."

—"Pan oszalał?—płonie żywym oburzeniem sklepikarz—pan mnie naraża na 500 *złotych grzywny lub* 6 *miesięcy aresztu? Sardynki dopiero od* 17*." Robotnik drapie się w głowę i wychodzi.*

Ocknąłem się z tego zamyślenia, a wracając do szkockiej rzeczywistości, zacząłem dopiero teraz naprawdę cenić mr. Wooltona i jego sprawiedliwe prośby. To wielkie uspołecznione uczucie szacunku dla przepisu, który w danej chwili obowiązuje wszystkich, bez względu na stanowisko społeczne, znajduje chyba najpełniejszy wyraz w tym, że Jego Królewska Mość Jerzy VI, nie przekroczył swoich codziennych racji żywnościowych "kartkowych," które są identycznie takie same, jak dla innych obywateli brytyjskich. Sama zaś królowa Elżbieta (co już jest publiczną tajemnicą) ma kłopoty z kuponami na suknie.

Pani komisarzowa policji i pani naczelnikowa skarbu są w tym dziwnym kraju pozbawione wszelkiego wpływu w sklepie szkockiego pana Korzonkiewicza. Robotnik zaś będzie miał niedługo podwójne racje żywnościowe. . . Kto z nas na tej wyspie ma teraz oczy szeroko otwarte, kto potrafi patrzeć i zapamiętać wiele rzeczy, ten nie zmarnuje czasu nadaremno w okresie owych miesięcy "zbrojnego bezrobocia." Zapamiętać trzeba nade wszystko ten uśmiech, który towarzyszy Brytyjczykom przy wypełnianiu przepisów. Są piosenki o mr. Wooltonie, o jego kuponach, o "ration-kartach," ale nikomu ani w głowie biadać z powodu wydanego przepisu, czy przemyśliwać nad jego obejściem. Wykonuje się go z uśmiechem na ustach.

Nadeszły obecnie pomarańcze. Mr. Woolton powiedział: tylko dla dzieci do lat sześciu. Sklepy z owocami zapełniły się dzieciarnią, wózki stoją na ulicy, a mamy i taty w sklepie demonstrują swoje maleństwa, których wiek z powagą ocenia szkocki "fruiterer." *Pomagają mu w tym rodzice, którzy dzieci powyżej lat* 6 *pozostawiają przed owocarnią. Dzieciaki te rozpłaszczają sobie dosłownie nosy o szyby wystawowe, pożerając oczyma pomarańcze, ale wiedzą, że:* "orange is only for baby," *które razem z* "daddy" *jest teraz w owocarni. Oto tajemnica. Już siedmioletni obywatel brytyjski wie, że* "baby" *jest słabsze i że pomarańcza jest mu bardziej potrzebna, więc nie wchodzi do sklepu, nie płacze i nie udaje sześciolatka, bo to nie jest . . .* "fair play."

Jakie to dalekie od naszej wyobraźni, jak obce czasem naszej naturze. Każdy czytelnik widzi napewno wraz ze mną naszą owocarnię pełną harmideru, słyszy zaklęcia ojców, którzy chóralnie stwierdzają, że w ogóle nigdy dzieci powyżej sześciu lat nie mieli, obserwuje razem ze mną gniecione matczyną ręką przed ladą wyrostki w wieku lat 11 *i* 12*, które odgrywają sześciolatków, płacząc w niebogłosy, widzi kwitnący przed sklepami handel dzieciakami od* 6 *miesięcy do sześciu lat, które są rozrywane; jedna familia pożycza niemowlęta drugiej, są już i nasi czarnogiełdziarze, którzy ustalili nieoficjalną cenę za wypożyczenie "pomarańczowego dziecka," a na rogu ulicy, za węgłem, stoi szpica, w odpowiednim momencie ostrzegająca szanowne zebranie poufnym zawołaniem: "wyrywajcie, policaj hula."*

W sposobie wydawania i wykonywania przepisów jesteśmy na dwóch różnych biegunach. Na biegunie naszym jest surowe, suche zarządzenie, obwarowane grzywnami i aresztami z jednej strony, oraz zbiorowa namiętność obejścia przepisu w sposób najsprytniejszy—z każdej strony. Na biegunie brytyjskim jest "prośba," umotywowana sprawiedliwością społeczną z jednej strony, oraz zbiorowa ambicja społeczeństwa wykonania przepisu jak najdokładniej z drugiej strony. Dziwny naród.

Wiktor Budzyński

Z życia obozów

Karabin i książka

Pierwsza Brygada Strzelców przed drugą zimą w Szkocji

Pada deszcz, zmrok zapada, nim się człowiek obejrzy, na "odcinku" grzęźnie się w błocie. Radio mówi o "złej pogodzie" na froncie wschodnim, o nocnych przymrozkach, deszczach i śniegu. Minus śnieg i wszystko zredukowawszy odpowiednio, Szkocja może poniekąd rywalizować z Rosją z tą jednak istotną różnicą, że tam jest wojna, a tu nie ma jej, że tam są Niemcy, a tu najbardziej optymistyczne "punkty obserwacyjne" na wybrzeżu straciły nadzieję, żeby w najbliższych miesiącach móc zaalarmować oddziały: "Niemcy na horyzoncie!"

W tych dniach minął rok od chwili gdy objęliśmy odcinek obrony Szkocji. Były to dni pełne emocji i wyczekiwania. Zdawało się, że inwazja nastąpić może każdej chwili. Znaków, że się Niemcy do niej przygotowują zaiste nie brakło. A gdy w końcu trzeba było stwierdzić, że tej jesieni inwazji nie będzie, to jednak w dalszym ciągu istniało spore prawdopodobieństwo, że "co się odwlecze, to nie uciecze" i że należy liczyć się z możliwością inwazji na wiosnę.

Ta sytuacja wycisnęła swe piętno na całym naszym życiu poprzedniej zimy. Trzeba było przygotować powierzony nam odcinek do obrony, umocnić, wszechstronnie go poznać. I trzeba było szczególnie być czujnym, gdyż każdej chwili mogło przyjść zaskoczenie. Stała więc ta zima pod znakiem kilofów i łopat, worków z piaskiem i cementem, kopania, budowania i maskowania, jak również pod znakiem ciągłego pogotowia.

INNA ZIMA

Teraz szybkimi krokami zbliża się nowa zima. Nasza druga zima szkocka. Będzie ona cięższa od tamtej przez fakt przedłużania się owego "zbrojnego bezrobocia," na które nie ma rady, a które tak bardzo wszystkim dokuczyło. Ale będzie niewątpliwie także zupełnie inna. Znajdzie się czas na rzeczy, na które rok temu czasu było mało. I wygląda na to, że ten czas będzie tym razem należycie wykorzystany.

Na temat wypełnienia czasu "zbrojnego bezrobocia" wylano w ostatnich czasach wiele atramentu i niewiele można na ten temat nowego powiedzieć. Mniej więcej wszyscy są zgodni co do tego, iż czas ten powinien być poświęcony z jednej strony na udoskonalanie wyszkolenia, na zapoznawanie się z nową bronią, z nowoczesną techniką wojny itd., z drugiej zaś na naukę i dokształcanie się pod każdym względem, ze specjalnym wykorzystaniem tych możliwości, jakie daje pobyt w W. Brytanii.

Ale zamiast powtarzać zasady, które są powszechnie—z nielicznymi wyjątkami—uznawane, zobaczmy jak to wszystko wygląda w praktyce.

Krótko mówiąc, jak zapowiada się ta druga zima w Szkocji? Co powinna ona nam dać?

POD ZNAKIEM MOTORYZACJI

O stronie wojskowej, o wyszkoleniu i przygotowaniu się do przyszłych zadań—mówić trudno. Cenzor i tak skreśli: To tajemnica. Ale nie jest tajemnicą, że nasza armia jest stuprocentowo zmotoryzowana i że powinna w związku z tym powiększyć szeregi kierowców. W rezultacie szkolenie nowych zastępów kierowców staje się jednym z głównych zadań na zimę.

Powstała więc nowa, nowoczesna, dobrze wyposażona szkoła kierowców, i rozpoczął się pierwszy z cyklu kursów sezonu zimowego. Dobre warunki pracy powinny powiększyć poważnie liczbę tych, którzy znają samochód i motocykl na wylot. Potrzeba ich armii, a tym bardziej będzie ich potrzeba w wyzwolonej Polsce.

MATURA, JAKIEJ JESZCZE NIE BYŁO

Jeżeli teraz przejdziemy do drugiej strony programu na zimę, to trzeba powiedzieć, że w dziedzinie oświaty w najróżniejszych jej przejawach zapanował ruch znaczny.

Od czego tu zacząć? Myślę, że zacząć trzeba od najmłodszych, t.j. od maturzystów, zwłaszcza, że osiągnięte tu zostały piękne rezultaty. Oto w tych dniach jeden z batalionów, przezwany z powodu swej odznaki szkockiej batalionem "Szkockim" przeżył niezwykłą uroczystość: rozdano pierwsze żołnierskie matury w Szkocji 17 młodym żołnierzom, którzy zdali egzaminy dojrzałości.

Historia tego kursu, który odbył się w obozie, wśród lasów i wrzosowisk, to przykład co może energia, ofiarność, zapał i dobra wola, gdy znajdą zrozumienie i życzliwość ze strony dowódcy. Kurs, pierwszy polowy kurs maturalny w naszym wojsku—powstał przed paru miesiącami. Jedni żołnierze przypomnieli sobie, że byli uczniami licealnymi, inni że są bądź to nauczycielami, bądź fachowcami w pewnych przedmiotach. I oto zajęli jeden z baraków, przemienili go w salę szkolną. O wytężonej pracy świadczy fakt, że ilość godzin wykładów i ćwiczeń wyniosła 740, co licząc po 30 godzin tygodniowo dałoby 25 tygodni, czyli mniej więcej tyle, co rok szkolny w Kraju.

Trudności było dużo, bardzo dużo. Było to pierwsze doświadczenie tego rodzaju. Warunki obozowe nie są najlepsze dla nauki. . . Nie było pomocy naukowych podręczników. A do tego dochodziły trudności, żeby się tak wyrazić "moralne." Jak bowiem pisały "Wiadomości" batalionu: ". . . trudno było tak od razu być tylko pilnym sztubakiem żołnierzowi, który sam przechodził przez góry i lasy, który już sam decydował o swoich losach. Ciężko nieraz było pełnić służbę na placówce, na warcie, a równocześnie utrwalać w pamięci daty historyczne, wzory matematyczne, wykresy, prawidła, regułki. . . . Czasem przykro było siedzieć nad książką, kiedy inni koledzy odświeżeni, ubrani w mundury wyjściowe, wyjeżdżali "na przepustki" . . ."

Eksperyment udał się jednak w pełni, jak o tym świadczy wynik końcowy: na 25 uczestników kursu 17 zdało egzamin w charakterze eksternów przed komisją egzaminacyjną, na czele której stał dziekan Uniwersytetu J. P. prof. Jarra.

Teraz z kolei mamy podobną imprezę już w skali brygadowej. Na podstawie doświadczeń kursu batalionowego rozpoczął się nowy kurs dla żołnierzy ze wszystkich oddziałów Brygady. 70 żołnierzy, którzy zostali oderwani od nauki wypadkami wojennymi, będzie mogło skończyć studia licealne, będzie uratowanych dla kultury polskiej. Niektóre trudności będą tym razem mniejsze, bo są już skrypty różne i inne pomoce.

UNIWERSYTETY I ZESPOŁY FACHOWE

Po maturzystach—następna kategoria: studenci. Ci, którzy zostali oderwani od studiów na Uniwersytetach lub Politechnikach.

Wielu z nich, przynajmniej część zimy poświęci na odświeżenie i pogłębienie wiadomości. Jeśli przez kilkanaście miesięcy pobytu w Szkocji nauczyli się na tyle angielskiego, by móc korzystać z wykładów szkockich uniwersytetów, to zasiadają już dziś obok czerwonych tog i uczą się prawa, ekonomii, filologii, elektrotechniki itd.

Nie wszyscy jednak studenci mogli pójść naraz na Uniwersytet. A obok są ci, którzy studia ukończyli, na ławy Uniwersytetów iść nie mają poco, lecz nie mniej nie chcą gnuśnieć, spędzać wolnego czasu na kartograjstwie, lecz radziby przypomnieć sobie swój fach, zaznajomić się z kolegami szkockimi, zobaczyć jak ta rzecz wygląda w tym kraju, nauczyć się czegoś nowego.

Toteż z inicjatywy żołnierskiej zaczęły powstawać w niektórych oddziałach koła i zespoły fachowe. Za jednym kołem powstaje drugie, przykład działa, nie trzeba nikogo zachęcać. Każdy jest zachwycony, że ma sposobność popracować trochę w swej dziedzinie.

Jak to wygląda w praktyce, może zilustrować najlepiej program tygodnia prac zespołów jednego z batalionów:

Poniedziałek: Nauczyciele mają zebranie w celu omówienia programu kursu dokształcającego.

Wtorek: Zespół prawników i handlowo-gospodarczy ma zebranie, na którym jeden z kolegów, magister praw—zreferuje budżet emigracyjny na rok 1941 oraz zasady kontroli państwowej—na podstawie Dziennika Ustaw.

Środa: Zespół prawników wyjeżdża do Edynburga na rozprawę sądową.

Czwartek: Zespół policjantów. W programie referat o organizacji policji angielskiej i szkockiej.

Zespół harcerski zbiera się w celu omówienia możliwości pracy samokształceniowej.

Piątek: Zespół spraw słowiańskich—pogadanka o "Biuletynie Zachodnio-Słowiańskim."

W ten sposób codzień wieczorem—zebrania odbywają się po zajęciach służbowych—któryś z zespołów, jedna lub więcej grup fachowych, spędza parę godzin na pożytecznej dyskusji, odświeżając swe wiadomości i ucząc się nowych, przetrawiając doświadczenia brytyjskie.

Szczególnie interesująco zapowiadają się wyjazdy na krótkie przepustki dla przestudiowania spraw zawodowych. A więc prawnicy —jak wspomnieliśmy— jadą na rozprawę sądową. Nauczyciele mają spędzić indywidualnie po trzy dni w szkołach szkockich. Rolnicy odwiedzą farmy. Handlowcy nawiążą kontakt z przemysłem. I tak dalej.

Koła naukowe powstają teraz w co raz to innych oddziałach. Z punktu widzenia rozwoju kultury i zapobieżenia wyjałowieniu umysłowemu, powinny one oddać duże usługi, a zarazem walnie dopomóc do przezwyciężenia sprawy "zbrojnego bezrobocia."

"LEARN ENGLISH"

A wreszcie "*last but not least.*" Sprawa nauki angielskiego. Szczerze mówiąc, rezultaty do tej pory zadawalające nie są. Niewątpliwie wielu z nas poczyniło wielkie postępy. Świadczy o tym wzrastająca poczytność książek angielskich i pism, świadczy zdanie egzaminu przez licznych kandydatów do studiów uniwersyteckich, świadczą nawiązane kontakty osobiste. Z drugiej jednak strony, za dużo jeszcze jest takich, którzy poza "*Thank you,*" "*Yes*" i "*No*" nie wiele wykrztusić potrafią. Szczyptę przesadzając, można by prorokować, że więcej Szkotów nauczy się polskiego, niż Polaków angielskiego. W samym Edynburgu uczęszcza pilnie na kurs polskiego 100 osób!

Niewątpliwie pierwszej zimy różne były trudności. Po całodziennym noszeniu worków z piaskiem czy pchaniu taczek z cementem nie bardzo się chciało wkuwać słówka czy pisać ćwiczenia. Były też nieraz trudności ze znalezieniem odpowiednich nauczycieli. Teraz jednak i czas jest i powiększyła się—dzięki kursowi dla nauczycieli angielskiego—liczba żołnierzy, mogących uczyć kolegów.

Ciekawa jest próba w jednym z batalionów, gdzie energiczny oficer oświatowy zorganizował szkołę języka, do której kolejno odkomenderowywane są grupy żołnierzy. Przez kilka tygodni, cały czas—po 6 godzin dziennie—poświęcony jest na naukę angielskiego. Powinno to dać lepsze rezultaty, niż np. godzina dziennie przez pół roku.

Warto by jeszcze o różnych przedsięwzięciach pomówić, ale najważniejsze projekty zimowe—wszystkie zresztą już realizowane, a więc nie z tych, co pozostają na papierze—wyczerpaliśmy. Druga zima szkocka będzie stała pod znakiem karabinu i książki, które mogą doskonale współżyć ze sobą do czasu, gdy wybije godzina akcji i gdy książka pójdzie—do worka.

Sandy

Dziennikarze w mundurach—"szaleją"

Zaczęło się to niezwykle uroczyście.

W rozkazie baterii odczytano: "Podróż służbowa. Z rozkazu Dowódcy I Korpusu podchorąży ten a ten wyjeżdża do Edynburga, celem wzięcia udziału w spotkaniu z dziennikarzami szkockimi."

Spotkanie w Domu Polskim, na Green Hill Gardens, organizuje samodzielny referat oświaty Dowództwa I Korpusu przy współudziale p. Alee Mitchella, który, jak się zdaje, jest szkockim inicjatorem tej imprezy, oraz p. H. Harvey Wooda ze szkockiego oddziału "*British Council.*" Mamy wśród nas kolegów ze "*Scotsmana,*" "*Glasgow Heralda*" i B.B.C.

Kanapki są smaczne, sałatka (polska sałatka) też. *Cherry*—nigdy nie jest złe. Rozmawiamy o Polakach i Szkotach, o dziennikarzach i wydawcach, o nożycach redakcyjnych i cenzorskich, słowem o tych wszystkich rzeczach, o których rozmawiają dziennikarze, kiedy znajomość dopiero—zaczyna się. Nasi szkoccy koledzy są bardzo mili i są bardzo "angielscy," to znaczy "startują" powoli i na zimno. A czas płynie—szybko.

—"Pozwolą Państwo—zabiera w pewnej chwili głos p. Harvey Wood—że kolega Raitt z "*Glasgow Heralda,*" który musi już nas opuścić, powie parę słów."

Kolega Raitt mówił bardzo—po angielsku. Bez wielkich słów i z wielką bezpośredniością.

— "W Blairgowrie pewien polski oficer stoi na kwaterze u mojej matki, "*with my mother,*" i ona pisze mi, że to jest bardzo miły człowiek i że gdyby miał opuścić Blairgowrie — byłoby bardzo przykro.'" U siostry kolegi Raitta—też mieszka polski oficer—bardzo miły człowiek. A wystawa polskich żołnierzy malarzy w Edynburgu była wspaniała. No i w ogóle nasza przyjaźń musi przetrwać tę wojnę i musimy potym razem budować lepszy świat.—

Daliśmy koledze Raittowi mocne brawo. Mowę jego zaakceptował też radosnym szczekaniem piękny, kudłaty pies, uczestnik wyprawy norweskiej, własność jednego z obecnych na sali oficerów. Psisko akceptowało następnie każde dalsze przemówienie, słusznie uważając, że persona aż tak grata, jak pies pana kapitana i aż tak dzielna, jak uczestnik wyprawy norweskiej—musi w jakiś sposób zaznaczyć swą obecność.

Po koledze Raitt przemawiał kolega Taylor ze "*Scotsmana,*" po czym p. Burnett z B.B.C., który przeprosił nas, że nie mówi—po polsku i obiecał za pół roku przemawiać do nas w naszym ojczystym języku. "Uczę się go, ponieważ po tej wojnie będziemy musieli znacznie lepiej znać Europę i znacznie bliżej z nią współpracować. Szczególnie z wami."

Przemawiali jeszcze panowie Harvey Wood i Mitchell.

Nas, przyzwyczajonych, że dziennikarze są ludźmi wygadanymi, którym mowa leje się z ust jak . . . woda z kranu—uderzyła w naszych szkockich kolegach nie tyle nawet powściągliwość w słowie, ale wręcz jakby nieśmiałość w wysławianiu się, jakby zażenowanie.

— "Wiesz, gdybym ja miał przemawiać po angielsku — szeptał jeden z Polaków—wyobrażam sobie, że męczyłbym się mniej więcej tak, jak oni."

Stanowczo z największą swobodą i swadą przemawiał po angielsku jeden z nas, odpowiadając Szkotom na ich miłe oracje.

—"Odnosi się wrażenie, że on najlepiej ze wszystkich tu obecnych mówi po angielsku"—zreasumował znów ktoś z Polaków.

Po czym wstaliśmy od stołów i przystąpiliśmy do—żegnania się.

W tej chwili zrozumiałem, że rzecz, która nieźle zaczynała się—skończyła się, zanim co do czego doszło. Był to —początek bez dalszego ciągu. Przebrnąwszy przez rozmowy o wydawcach i cenzorach oraz przez oficjalne przemówienia — doszliśmy do chwili, w której wspólny wymarsz gdzieś na miasto położyłby fundament pod bardziej interesującą i bardziej zbliżającą ludzi—konwersację. I w tym właśnie momencie—rozstaliśmy się. . .

* * *

Kolega Taylor zabrał nas, by pokazać swoją redakcję.

"Ah, po drodze—zrobimy niespodziankę mojej żonie."

Wkraczaliśmy w niemal że wojskowym ordynku. Ta polska inwazja została przyjęta z . . . uśmiechem na ustach. Pani domu okazała się czarującą brunetką, mieszkanie — pełne słońca i przestrzeni, wnętrze—nowoczesne, ale w granicach rozsądku. To wnętrze bardzo podobało się Tony'emu, a karykatura na poczekaniu przez niego narysowana—bardzo się podobała naszym gospodarzom.

—"Teraz znacie do mnie drogę. Jeśli więc który z was będzie się wybierał do Edynburga —"*just ring me, and a bed will be ready for you*"—zapewnia kolega Taylor. A pani Dorothy przyjaźnie kiwa do nas ręką ź narożnego okna, gdy maszerujemy do tramwaju.

* * *

Coś ośm pięter w górę, a pięć pięter pod ziemię—gmach wydawnictw "*Scotsmana*" wraz z popołudniówką i tygodnikiem. Połączenie staroświecczyzny z ostatnim postępem techniki. No i —zasobność. Sześćdziesiąt linotypów, czternaście dalnopisów, cztery najnowocześniejsze aparaty, z których wiadomości i artykuły pisane w Londynie wychodzą w postaci podziurkowanych pasków papieru; wystarczy je założyć na odpowiednio urządzony linotyp, by sam, jedynie pod ludzką kontrolą, składał czcionki w wiersze, jak prawdziwa—"szafa grająca."

Najbardziej jednak zaimponowała nam—galeria popiersi kolejnych redaktorów naczelnych "*Scotsmana,*" umieszczona w hallu redakcji. Rozigrana wyobraźnia zaczęła "przymierzać" naszych własnych "naczelnych" w marmur i bronz posągów.

* * *

Kiedyśmy opuścili "*Scotsmana*" stanął przed nami problem—co zrobić z wieczorem, jako że "*meeting*" nie miał już mieć żadnego "dalszego ciągu."

Trzy szylingi trzy pensy żołdu plus strawne dwa szylingi dziewięć pensów, razem: 6 szylingów, to granica finansowa "szaleństwa," na jakie mogliśmy sobie pozwolić, będąc w większości—starszymi strzelcami . . .

Niżej podpisanemu, wraz z redaktorem "*Dziennika Żołnierza*" wydawało się, że sami jedni tylko wpadli na dobry pomysł pójścia do "Palais de dance," jako, że wstęp tylko 1 sh. 6 pensów. Ale już w ciągu pół godziny, wszyscy co do jednego odnaleźliśmy się tam w tłumie.

—"Pomyślmy tylko na chwilę —coby to było, gdybyśmy to my w Polsce podejmowali naszych szkockich kolegów dziennikarzy, jako żołnierzy sprzymierzonej armii."

Ktoś inny zauważył, że według polskiego obrządku powinno by się zacząć pijaństwo. Myśl o tej ilości alkoholu, która polałaby się przy tej okazji—uderzyła nam do głowy. Trzeba było na gwałt—orzeźwić się. . .

Poszliśmy prędko do bufetu napić się . . . Napić się—lemoniady . . . za 6 pensów szklanka. . .

Zaczęło się szaleństwo. . . .

Big George

Przegląd polityczny

W. Brytania jest państwem morskim. Wojna z Anglią nie polega jedynie i wyłącznie na ataku samej metropolii. W przeciwieństwie do innych krajów europejskich kampania przeciwangielska musi się toczyć na olbrzymich przestrzeniach, obejmując tereny równie dla WBrytanii ważne, jak wybrzeża Devonu czy ujście Tamizy. Granice angielskie biegną nie tylko wzdłuż Kanału La Manche ale znaczą je również punkty tak dalekie od WBrytanii jak Gibraltar, Suez, Jaffa, Aden, tudzież wyżyny Iranu, Afganistan, Himalaje. Nie wolno o tym zapominać, formułując pewne poglądy polityczne, nie wolno również nie zwracać na ten fakt największej uwagi, komentując rozwój wydarzeń wojennych.

W dziejach Anglii są duże podobieństwa między walką z hegemonią Napoleona i obecną wojną z Trzecią Rzeszą. Oczywiście, mamy na myśli tylko historię samej akcji wojennej, gdyż groza Trzeciej Rzeszy jest niewspółmiernie większa od tego niebezpieczeństwa, jakie mogło grozić WBrytanii ze strony Francji na przełomie XVIII-go i XIX-go wieku.

Bonaparte, skoro doszedł do wniosku, że bezpośredni atak na wyspy nie ma widoków powodzenia — postanowił zniszczyć potęgę angielską, przez wyrugowanie wpływów WBrytanii na Morzu Śródziemnym i Bliskim Wschodzie. Wyprawa do Egiptu, zajęcie Malty, walki pod Piramidami, Jaffą i bitwa pod Abukir—są pierwszą fazą kampanii, mającej na celu opanowanie basenu Morza Śródziemnego i całkowite odosobnienie Anglii. Mimo bardzo poważnych sukcesów kampanię tę Pierwsza Republika przegrywa. Generał Bonaparte wznawia ją jako Cesarz Francji. Atakuje Anglię na zachodnich i wschodnich wybrzeżach śródziemnomorskich. Wojska francuskie są i w Hiszpanii i w Dalmacji. Cesarstwo przegrywa również swoją kartę pod Trafalgarem. Jest to punkt zwrotny w walce o przewagę europejską. Napoleon będzie odnosił jeszcze wspaniałe zwycięstwa, ale od chwili, kiedy Nelson zniszczył flotę francuską, *od klęski w walce o Morze Śródziemne—datuje się początek końca wielkiej epopei napoleońskiej, początek katastrofy i Cesarza i Francji.*

Na opanowaniu Morza Śródziemnego, na stworzeniu tej "osi niezwyciężonego oporu" (wyrażenie Goebbelsa z maja 1938 roku)—polegała polityka hitlerowska, której cele przeprowadzała zarówno dyplomacja, jak i strategia niemiecka. W roku 1939, w styczniu, "Gazeta Polska" pisała, że bieg wypadków potwierdza pogląd, iż Niemcy starają się urzeczywistnić swoje dążenia kolonialne i w tym kierunku zwraca się ich ekspansja—a natomiast na wschodzie panuje atmosfera "spokoju i zaufania." Oczywiście był to nonsens, wynikający z płytkiego oceniania zjawisk. Hitler przygotowywał wtedy wyprawę na Polskę (Ribbentrop żądał Gdańska i Pomorza już w październiku 1938), ale właśnie dlatego chodziło mu o jak najstaranniejsze zmontowanie osi od Morza Północnego aż po Libię. *Uderzenia niemieckie szły w kierunku równoleżnikowym, lecz podstawą ich była linia południkowa.*

Przymierze włosko-niemieckie stwarzało dla Francji i Anglii groźbę walki na dwa fronty i odgrywało kolosalną rolę w tym olbrzymim szantażu hitlerowskim, jakiego widownią była Europa w latach 1938 i 1939. *Bez tego przymierza, bez tej osi—o jakiejkolwiek akcji niemieckiej na większą skalę, nie mogło być w ogóle mowy.* Montowanie osi Berlin-Rzym zaczęło się jeszcze przed dojściem do władzy Hitlera, błędy Lavala i Hoare'a w okresie kampanii abisyńskiej przyczyniły się do utrwalenia sojuszu włosko-niemieckiego, dzięki temu tylko doszedł do skutku "Anschluss," następnie układ monachijski a wreszcie zabór Pragi i Bratysławy—i atak na Polskę.

W czasie wojny europejskiej, głównym celem Niemiec jest pokonanie Anglii przez wzmocnienie i wydłużenie osi południkowej. W tym celu atakuje Hitler Norwegię przedłużając linię podstawy strategicznej od Syrakuz aż do Przylądka Północnego. Dlatego również, po pokonaniu Francji, wymusza na Pétainie oddanie południkowego pasa wybrzeża aż po granicę hiszpańską. Po nieudałym ataku lotniczym na WBrytanię wszystkie cele bezpośredniej i pośredniej akcji wojskowej niemieckiej—*skupiają się koło basenu Morza Śródziemnego.* Dlatego Hitler wydaje Mussoliniemu rozkaz atakowania Egiptu. Dlatego atakuje Jugosławię i Grecję. Dlatego, mimo ogromnych strat, podejmuje akcję na Krecie.

Wojna z Rosją? Oprócz celów bezpośrednich—to jest usunięcia groźby armii sowieckiej i w ogóle jakiejkolwiek interwencji Rosji—są również cele dalsze, nie mniej jednak pierwszoplanowe. Mówi o nich wprost radio niemieckie w Paryżu:

"*— Atak na Rosję jest jednocześnie atakiem na W. Brytanię, na jej stanowisko śródziemnomorskie. Cel zwycięskiej ofensywy niemieckiej nie ulega wątpliwości. Jest nim Kaukaz. Dlaczego Kaukaz? Czy chodzi tu tylko o naftę? Nie. Zdobycie Kaukazu będzie wstępem do opanowania Iranu i Iraku. Zwycięskie wojska niemieckie dojdą do Syrii, tak podstępnie wydartej Francji. Będzie to początkiem ostatecznej klęski Anglii" i t.d.*

Plan hitlerowski nie urzeczywistnił się, opór rosyjski był znacznie silniejszy, aniżeli przypuszczano w Berlinie. Klęska Führera, poniesiona w walce z czasem pozwoliła Anglikom przygotować akcję w Libii. *I walka o basen Morza Śródziemnego wchodzi w drugą fazę, przypominającą dzieje kampanii egipskiej, bezpośrednio przed bitwą pod Abukir.* Anglia przechodzi do ofensywy, *atakując południową podstawę osi.*

Doniosłość polityczna obecnej fazy kampanii jest olbrzymia. Wykazywaliśmy, że podstawą całej akcji Hitlera była oś Berlin-Rzym, południkowa linia oporu, *będąca niezbędną podstawą do rozwinięcia działań strategicznych czy to na wschodzie, czy to na zachodzie Europy. Utrzymanie tej linii dawało Niemcom niesłychanie ważne atuty, zarówno polityczne, jak i strategiczne.* Otóż: zniszczenie osi i opanowanie wybrzeży Morza Śródziemnego przez WBrytanię — *jest początkiem załamania całego planu hitlerowskiego, jest początkiem katastrofy.*

Wie o tym Hitler i dlatego kusi staruszka Pétaina i bardzo niesławną rolę odgrywającego Darlana—"ustępstwami w metropolii" oraz "złagodzeniem warunków pokoju". Piąta kolumna w okupowanej i nieokupowanej Francji rozpoczęła już niesłychanie silną agitację przeciwko "niebezpieczeństwu komunizmu," które w razie zwycięstwa koalicji "musi" zagrozić "odrodzonej Gallii". Wysuwa się znów ten sam straszak, który takie usługi oddał polityce niemieckiej w tych wszystkich krajach, jakie przeznaczone zostały na rzeź. Bogata burżuazja francuska, której samolubstwo klasowe zgubiło Francję i przekreśliło jej wspaniałą dziejową rolę na wiele lat, i która zawsze bardziej obawiała się własnego ludu, aniżeli grenadierów pruskich w Paryżu—już niepokoi się na łamach gadzinowej prasy "trudną sytuacją w Rosji".

Wszystko to wskazuje na możliwość ultimatum Hitlera w sprawie oddania portów zachodnio i północno-afrykańskich, to znaczy w ogóle posiadłości francuskich — Niemcom. Wskazywałaby na to również dymisja gen. Weyganda, który opierał się próbom wydania resztek Francji Hitlerowi. Niepokojący jest również wyjazd Pétaina i Darlana do okupowanej Francji, na spotkanie z Hitlerem.

Sytuacja Niemiec jest zła. Cele kampanii rosyjskiej, które miały zostać osiągnięte w ciągu dziewięciu tygodni—nie zostały wyzyskane w ciągu pięciu z górą miesięcy "Blitzkriegu". Wojska niemieckie zastaje w Rosji zima, ze wszystkimi jej następstwami. Hitler podejmuje nową, rozpaczliwą ofensywę na Moskwę i Leningrad, ale nawet zajęcie Moskwy nie będzie już miało ani drobnej części tego znaczenia, jakie miałoby opanowanie stolicy —dwa miesiące temu. Basen Morza Śródziemnego w tym roku zdobyty nie zostanie. A jeżeli Anglikom uda się zniszczyć podstawy osi i wyprzeć Niemców oraz ich satelitów z Afryki—to będzie to miało nie mniejsze znaczenie, jak bitwa pod Abukirem, jak bitwa pod Trafalgarem.

Hitler znajduje się w początkowym okresie przegrywania wojny. Oczywiście proces ten może trwać bardzo długo—i nawet zajęcie Libii nie będzie końcem wojny. Do końca jeszcze daleko, walka będzie i długa i bardzo ciężka. Ale wynik jej, już dzisiaj zdaje się być przesądzony.

tk

Wyjaśnienie w sprawie żniw

W nr. 43 z dn. 25.X.b.r. "Polska Walcząca" wydrukowała korespondencję z obozów Andrzeja Doddiesa p.t. "Lniana zasługa i . . . order z kartofla," w której jednoznacznie wyjaśniono nieporozumienia nagromadzone wokół udziału żołnierzy polskich w żniwach. Mimo to uporczywe, a pozbawione jakiejkolwiek podstawy plotki, znalazły ponownie wyraz w druku. Władze wojskowe nadesłały nam w związku z tym następujące wyjaśnienie:

' W pewnej publikacji pojawiła się wiadomość jakoby żołnierze polscy pracujący przy zbiorach rolnych nie otrzymali tej zapłaty, którą otrzymują ich koledzy brytyjscy. Wiadomość ta nie odpowiada prawdzie. Zarówno żołnierze brytyjscy jak i polscy w myśl obowiązującego rozkazu władz brytyjskich, pracując na roli wykonują czynność służbową i nie są za to wynagradzani. Równowartość robocizny wpłacają właściciele rolni do Skarbu brytyjskiego, przyczem sumy wpływające z tytułu pracy żołnierzy polskich zaliczane są na dobro Skarbu polskiego, zmniejszając jego dług w Skarbie brytyjskim.

Ponadto właściciele rolni zobowiązani są do dostarczania pracującym żołnierzom napojów o wartości 1 sh dziennie; to zobowiązanie fermerzy przeważnie wykonywali przez wypłacanie szylinga gotówką pracującym.

Jest oczywiste, że odmienne uregulowanie sprawy dla żołnierzy polskich, niż dla żołnierzy brytyjskich jest nie do pomyślenia i żołnierze polscy rozumieją to doskonale i dumni są z tego, że przysłużyli się dobrej sprawie, pogłębiając szacunek i sympatię ku nim społeczeństwa szkockiego.

Rzekomi obrońcy interesów żołnierza polskiego nie zdają sobie sprawy, że działają tu raczej w interesie wroga."

W Glasgow obędzie się w niedzielę dnia 30 listopada 1941 r. o godz. 2.30 po południu w teatrze Paramount:

SZKOCKO-POLSKI KONCERT SYMFONICZNY

Udział wezmą: The Scottish Orchestra, Chór Wojska Polskiego, Soliści.

Dyrygenci: Ian White i Jerzy Kołaczkowski.

Między innymi wykonane zostaną: Wstęp i prolog z opery "Straszny Dwór" Moniuszki w wykonaniu Chóru, solistów i orkiestry /pierwsze wykonanie w Wielkiej Brytanii/, "Rapsodia Litewska" Mieczysława Karłowicza, "Step" Zygmunta Noskowskiego, Mazur z opery "Halka" Moniuszki.

SPIS RZECZY.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices), The Carlton Berry Co., 136, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2. Tel.: ABBEY 5108.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.